



ROK LVIII

PISMO

TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA

NR 28

KOBIEK

WARSZAWA, 11 LIPCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Patronat Instytut gospodarstwa wiejskiego w Belgji—*Felicja Sachsówna*. Coś o „kursach wakacyjnych,” t. zw. nauczycielach „ludowych” i „Przepióreczce”—*alp.* Działaczki okręsu konspiracyjnego (c. d.)—*Helena Ceyssingerówna*. Adolfinia Grzycka-Wieleżyńska—*Julja Dicksteinówna*. Świat Kobiety (część II) c. d.—*Marja Grossek-Korycka*. Tydzień w Lubelskiem—*Marja Dąbrowska*. Dwadzieścia pięć — jedenaście (romans) c. d.—*Marja Jehanne-Wielopolska*. Idylla na Arktyku (c. d.)—*Juljusz Wirski*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Młaszewska*. Piękna Pamela c. d.—*K. Bielańska*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B. Z naszych zdrojowisk*—*Michalina Grekowicz-Hausnerowa*. Z teatrów—*p.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Dwie półeczki List z Paryża—*Sekwa*. Nagość i kultura ciała w epoce Empir'u—*Spera*. Reforma gospodarstwa domowego—*F. S. Ziola polskie*—*a.* Sympatyczna uroczystość—*Estas*. Jakże zapasy spiżarniane można sobie uszyszyć latem? (dok)—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy (c. d.)—*Beatrix Harraden*. ARKUSZ WZORÓW

PATRONAT



est u nas instytucja, powołana do opieki nad więźniami, przebywającymi w więzieniach, i nad ich rodzinami oraz nad tymi, którzy, opuściwszy więzienia, potrzebują pomocy. Wysoce humanitarna instytucja ta założona została jeszcze za czasów rosyjskich, ale obecnie dopiero uzyskała prawo ctwierania w całym Państwie swoich oddziałów.

Działa więc za pozwoleniem i w ścisłym porozumieniu z władzami państwowymi. Powstała w celu ulżenia losu więźniów oraz oddziaływania na nich w kierunku poprawy i umożliwienia im powrotu na drogę uczciwej pracy.

Patronat dzieli się na sekcje.

Pierwsza sekcja kuratorów więziennych ma wstęp do więzień.

Co tydzień wyznaczeni w tym celu stale kuratorowie i kuratorki odwiedzają te miejsca hańby i niedoli.

Wypytyują uwieczonych o ich potrzeby, pragnienia i o ile możliwości czynią im zadość, załatwiając na miejscu polecane im interesy i sprawy: np. wywiedzenie się o rodzinie, odwiedzenie chorych, krewnych więźnia, załatwienie dozwolonych zakupów i t. d. i t. d.

Więzienie kobiece w Warszawie przy ul. Dzielnej odwiedzają stale panie: Osmołowska i Sawicka, Mokotów — panie: Rosentalowa, Wasserbergowa,

Jaskiewiczówna. Więzienie przy ul. Długiej — pani Goczałkowska; t. zw. „Pawiak” ma pod opieką dwóch kuratorów i t. d.

Sekcja kulturalno-oświatowa zajmuje się urządzeniem w więzieniach odczytów, pogadanek z przezrociami, przedstawień teatralnych, koncertów, obchodów narodowych. Tak np. w dniu 3-cim maja r. b. urządzono we wszystkich więzieniach warszawskich obchody pamiętnej rocznicy. Odczyty te są niezmiernie lubiane i stanowią jedyny promyk jasny w doli więźnia. Podsekcja prawnicza udziela porad prawnych tym, którzy nie mogą opłacić obrońcy. Do sekcji tej, prócz dwu znanych adwokatów warszawskich, należy adwokatka Wiewiórska.

Nadto Patronat utrzymuje na Forcie VI, pod Warszawą, żłobek, a właściwie przytułek dla dzieci, których ojcowie czy matki, czy oboje razem odsiadują karę więzienia. Jest tam obecnie 30 dzieci w wieku od 1 roku życia do 7-miu. Dzieci w wieku szkolnym przechodzą stamtąd do przytułku, utrzymywanego przez specjalne „Towarzystwo Opieki nad dziećmi więźniów,” które posiada zakład swój na Powiślu (Tamka 37).

Opieka „Patronatu” nad wychodzącymi z więzień jest bardzo obszerną i skomplikowaną zadaniem.

Kodeks nie przewiduje żadnej opieki nad człowiekiem, który odbył karę. Wypuszcza go się na świat Boży, pozostawiając go własnemu przemysłowi

i złym jego instynktom. Za czasów rosyjskich ważniejszych przestępców, a zwłaszcza recydywistów, odstawiano t. zw. „ciupasem“ na miejsce „pobytu“. Było w kraju kilkanaście takich przeklętych miejscowości, gdzie przebywali „pobytowi“. Nie wolno im było ruszyć się stamtąd, bez względu na to, czy znaleźli tam pracę, czy nie.

Było to urządzenie równie bezsensowne, jak okrutne i zmuszające wprost tych ludzi do ucieczki i do popełniania nowych przestępstw. Dziś niema już „pobytów“. Człowiek, który ukończył karę więzienia, może wracać na miejsce swego stałego zamieszkania. Zazwyczaj jednak nie ma na podróż tę pieniędzy.

Rządowych funduszków niema na ten cel żadnych; biletów wolnej jazdy nie wydaje się. Pozostaje ucieczka do Patronatu. Wprawdzie więzień powinien mieć coś z zarobionych pieniędzy. Jednakże niekiedy ma parę groszy za ledwo. Zresztą większość z nich przepija z miejsca swój zarobek więzienny.

Patronat ze szczupłych funduszków swoich kupuje byłym więźniom bilety kolejowe, które wręcza im dopiero w chwili ruszenia pociągu. Więźniom, którzy nie wracają do miejsca zamieszkania, lub miejscowym stara się wynaleźć pracę. Jest to w obecnych zwłaszcza warunkach, zadanie prawie beznadziejne, a przecież niezmiernie doniosłości. Cóż robić będzie choćby nawet nie zawodowy przestępca, ale, bądź co bądź, zdemoralizowany więzieniem człowiek, jeżeli nie dostanie pracy?! Pozostaje mu tylko wypróbowana już droga kradzieży, rabunku czy oszustwa.

I tu spotykamy się z palącą wprost potrzebą zorganizowania Domu Zarobkowego dla wypuszczonych z więzień. Potrzebę tę odczuwają zarówno sami więźniowie, jak i Patronat, a nawet władze więzienne i wogóle wszyscy, którzy się kiedykolwiek z tą sprawą zetknęli.

Patronat zamierzał już w roku bieżącym stworzyć zaczątek takiego domu w siedzibie swojej na Forcie VI-ym, dzierżawionym od wojskowości, jednakże władze wojskowe mają podobno zerwać z nim umowę dzierżawną. Patronat pozostanie literalnie bez kawałka gruntu pod nogami. Jest zaprawdę rzeczą zdumiewającą, że Ministerstwo Sprawiedliwości, czy Ministerstwo Pracy i Opieki Społ., czy oba razem nie podejmą rzeczy, która miałaby faktycznie charakter najskuteczniej zapobiegawczy mnożeniu się przestępstw?! Czyż koniecznie stwarzać trzeba takie warunki, aby złodziej musiał kraść, a więzienia musiały być wciąż przepełnione?! Poważniejsza zapomoga, udzielona Patronatowi, przerzuciłaby ciężar zajęcia się organizacją Domu Zarobkowego na czynniki społeczne i byłaby zapoczątkowaniem sanacji zabagnionej przez rządy obce, przesyconej pierwiastkami chorób społecznych, atmosfery w naszym kraju.

Rzeczy tych lekceważyć nam nie wolno.

Pod cienką powłoką kultury ciągną się mroczne głębie, kraina odwróconej moralności, gdzie do brem jest właściwie to, co my nazywamy przestęp-

stwem, heroizmem to, co my nazywamy zbrodnią, gdzie rządzą pierwotne instynkty i atawizmy, nie dotknięte tchnieniem cywilizacji. Z mroków tych zionie gwałt, zgnilizna i zepsucie, zatruwające atmosferę naszego życia. Z mroków tych wraże jakiegoś kataklizmu społecznego czy politycznego wydobyć się mogą na powierzchnię życia larwy potworne.

Choroby społeczne trzeba leczyć, a więzienie nie leczy. Ono unieszkodliwia przestępcę na krótki przeciąg czasu, poczem zabiera się on znów do swojej roboty, mądrzejszy doświadczeniem, radami i przykładem towarzyszy więziennych. Jeżeli więc nie uczucie ludzkości, nie chrześcijańska woła nawrócenia grzesznika, to w każdym razie rozumnie pojęta samoobrona nakazywałaby społeczeństwu i władzom jaknajczujniejszą opiekę nad elementami, wypuszczonymi z więzień.

Patronat zaczyna się obecnie rozwijać i rozbudowywać. Posiada już zalegalizowane oddziały w Brzeżanach, Brodnicy, Brześciu n. Bugiem, Grodnie, Tarnowskich Górach, Grudziądzu, Dubnie, Janowie lubelskim, Krakowie, Kołomyi, Kaliszu, Kowlu, Łomży, Pułtusk, Pińsku, Prużanach, Radomiu, Sosnowcu, Suwałkach, Siedlcach, Wilejce, Zamościu i Tarnowie.

Możnaby zapytać, dlaczego nie posiada oddziału we Lwowie, w Wiśniczu, gdzie więzienie dotychczas nie miało nawet lazaretu, gdzie chorych na gruźlicę trzymało się razem ze zdrowymi i t. d.?

Ideę Patronatu należy spopularyzować, a, niestety, Towarzystwo samo popularnem nie jest. Panują przeciw niemu uprzedzenia, którym wyraz dają niekiedy i pewne organy prasy.

Uprzedzenia te powstały na skutek akcji, którą Patronat podjął na żądanie naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Istnieje mianowicie umowa między Polskim Czerw. Krzyżem, a rosyjską instytucją tej samej nazwy, polegająca na wymianie funduszków zapomogowych dla więźniów politycznych tu i tam. Jedynym sposobem na to, by więźniowie polacy w Rosji nie marli literalnie z głodu, jest dozwolić na odpowiednią akcję u nas. Patronat, jako jedyna instytucja, mająca dostęp do więzień, ma sobie przekazany przez P. Czerw. Krzyż fundusz zapomogowy rosyjski i funduszem tym administruje, oczywiście, wyłącznie na rzecz aresztowanych politycznych, co w naszych warunkach tłumaczy się wyłącznie na rzecz komunistów. Na tem to tle powstała legenda, że Patronat wspomaga przeważnie więźniów politycznych; oskarżają go o to więźniowie kryminalni, powodowani zrozumiałą w takich razach zazdrością; chodzi o tem plotka po ulicach stolicy, zniechęcając ludzi do pożytecznej instytucji i do samej sprawy opieki nad więźniami, a jednak kto zadałby sobie trud sprawdzenia rzeczy na miejscu, mógłby się przekonać, że poza funduszem, przekazywanym mu przez P. Czerw. Krzyż, Patronat z kasy swojej ani jednego grosza na wspomaganie więźniów politycznych nie wydaje. Zresztą ci, co nie mają zaufania do dzisiejszego kierownictwa Patronatu, powinni tem żarliwiej pogarnąć się do Towarzystwa, by pracę tę ująć w swoje ręce.

INSTYTUT GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO W BELGJI

Wiadomo nie od dzisiaj, że Belgja należy do krajów, które osiągnęły najlepsze rezultaty w dziedzinie pedagogiki. Czytelniczki przedwojennych „Nowych Torów” przypominają sobie zapewne niezmiernie interesujące artykuły o belgijskich szkołach nowego typu; w tym samym czasie uczona Polka kładła w Brukseli podwaliny nowej gałęzi wiedzy — pedologii. Mniej mówi się u nas o pewnej kategorii szkół, które osiągnęły w tym kraju nieznaną gdzieindziej poziom: o szkołach gospodarstwa wiejskiego.

Nauka gospodarstwa jest w Belgji doskonale zorganizowana. Na czele stoi kierownik Ministerstwa Rolnictwa, Paweł de Vuyst, którego inicjatywa odegrała decydującą rolę. W każdej prowincji powierzono pośrednictwo między Ministerstwem a szkołą inżynierowi rolniczemu. Profesorowie wykładają poza szkołą jeszcze w „Kółkach Gospodyń Wiejskich” (Cercles des Fermières), których jest obecnie 600. System nauczania cechuje brak rutyny, dążenie do rozwijania energii i inicjatywy uczennic.

Najwyższą ze szkół tego typu jest Instytut Główny Gospodarstwa Wiejskiego, położony w Laeken koło Brukseli; Instytut mieści się w pięknym zamku, otoczony 14-hektarowym parkiem i 10-hektarową fermą. Został on założony w 1919 r. przez Ministra Rolnictwa, barona Ruzettę na wniosek p. de Vuyst. Program głosi: „Instytut ma za zadanie przygotować drogą wykształcenia społecznego i zawodowego elitę kobiet, zdolną podnieść warunki życiowe ludności wiejskiej. Kształci młode dziewczęta na krzewicielki nauki gospodarstwa wiejskiego i daje córkom rolników i właścicieli ziemskich teoretyczne i praktyczne wiadomości z dziedziny gospodarstwa i rolnictwa, starając się natchnąć je zamiłowaniem do wiejskiego trybu życia, który jest najzdrowszy, najprzyjemniejszy i najnaturalniejszy, daje najwięcej szczęścia i przyczynia się najbardziej do odrodzenia ludzkości”.

Uczennice spędzają w szkole dwa lata; muszą mieć, wstępując siedemnaście lat i dyplom nauczycielski lub równorzędny. Za naukę płać Belgijki 500 franków, nadto składają się na początek każdego roku w równej mierze na koszt

utrzymania i z kolei zarządzają wspólnym funduszem, ucząc się tym sposobem sztuki układania budżetu domowego. Po skończonym roku szkolnym dzieli się oszczędności między uczennice.

Dziewczęta wykonywują wszystkie prace domowe, ogrodnicze i lżejsze na fermie. Uczennice pierwszorzeczne zamieszkują pawilon, urządzony według starych metod; po upływie roku przenoszą się do drugiego pawilonu, zaopatrzonego w najnowsze zdobycze techniki. Będą więc musiały dać sobie w życiu radę nawet w najgorszych warunkach, ale z drugiej strony nauczą się cenić dobrodziejstwa postępu, zwłaszcza elektryfikacji wsi, staną się wrogami zakorzenionych przesądów. W celu rozwinięcia pomysłowości, umeblowano każdy pokój w odmienny sposób, niejednokrotnie stosowano meble kombinowane i składane. Dobór barw i kształtów wyrabia gust dziewcząt, które co miesiąc obowiązane są przenosić się do innego pokoju.

Z pośród wykładanych przedmiotów wymienić należy psychologję, anatomję, fizjologję, nauki przyrodnicze zarówno w ogólnych zakresach, jak w praktycznym zastosowaniu do gospodarstwa rolnego, ekonomję domową, (organizację pracy, studia nad mieszkaniem, umeblowaniem i t. d.); roboty ręczne, ogrodnictwo, rolnictwo, zootechnikę, mleczarstwo, wreszcie rysunki, angielski, wypracowania. Co tydzień uczennice chodzą do poradni dla niemowląt, nadto wychowują dwie sieroty w wieku dwóch i sześciu lat. Wszystkie czynności domowe są poddawane naukowemu

doświadczeniom, studjom chronometrycznym.

Najciekawszą innowacją tej szkoły są stopnie, dawane uczennicom za wykazaną inicjatywę. A więc nagradza się wychowankę, która znajdzie nowy aparat i skłoni fabrykanta do ofiarowania go szkole. Każda mieszkanka pokoju notuje w oddzielnym kajecie, poświęconym temu pokojowi, swe spostrzeżenia i, jeśli uda jej się zreformować jakiś szczegół układu mebli lub ich strukturę, otrzymuje stopień za inicjatywę.

Na specjalną uwagę zasługuje również regulamin szkoły, umieszczony na osobnych kartkach, które tworzą karnet; na tygodniowych sesjach pedagogicznych; rozważa się kolejno poszczególne punkty programu i w miarę potrzeby zastępuje daną kartkę karnetu przez inną. Regulamin rozwija się więc i doskonali z tygodnia na tydzień. Omówienie wszystkich punktów programu zajęłoby zbyt wiele miejsca, podkreślimy tylko niektóre momenty. Punkt E. (Personel stały i wykładowy) zawiera między innemi wymóg, by uczennice pomagały kolejno głównej zarządzającej, dyrektorowi, buchalterce i t. d. Personel nauczycielski jest solidarnie odpowiedzialny za poziom szkoły; ma prawo i obowiązek zwracania uwagi władz na dostrzeżone braki. W punkcie G. przewiduje się 25% stopni za postępy teoretyczne, 50% za postępy praktyczne, 25% za inicjatywę. Uczennice winny się nauczyć: przewidywać, organizować, rozkazywać, koordynować, kontrolować. Punkt L. dotyczy sprawozdań, sporządzanych wspólnie przez dziewczęta po każdej lekcji i służących, jako rodzaj podręcznika. Punkt M. mówi o doświadczeniach. „Jeśli gospodyni chce poznać skład jakiegoś wytworu, używanego w gospodarstwie lub jakiegoś przyrządu, znajdującego się na rynku, Instytut w Laeken musi jej dać odpowiedź taksamo — jak Instytut Agronomiczny musi umieć zaopiniować o nawozach, nasionach, zwierzętach domowych i narzędziach rolniczych”. W punkcie P, omawiającym wychowanie moralne, kładzie się specjalny nacisk na dobry humor, za który udzielane są stopnie, na zdrowy rozsądek i dobre obejście. Wychowanie fizyczne a) Obejmuje ratownictwo. Celem rozwoju intelektualnego ka-



że się uczniom; k) pisać monografię, rysować dagramy, organizować ankiety, kolekcjonować, zarządzać biblioteką. Wielkie znaczenie przypisuje szkoła wykształcenie zmysłu rodzinnego, s) co tydzień inna z pośród uczniów urządza „wieczór rodzinny“, na który zaprasza koleżanki. W każdym pawilonie znajduje się pokój gościnny. Nie zapomniano o wykształceniu estetycznym, f) któremu służą: muzyka, śpiew, głośne czytanie, sztuka stosowana. Wreszcie nauczycielstwo dąży do wyrobienia ucznia pod względem społecznym drogą zwiedzania instytucji społecznych i zapomocą innych skutecznych środków (Punkt W¹).

* * *

Instytut w Lacken organizuje od 15 lipca do 5 sierpnia 1925 roku wystawę gospodarczą pod nazwą: Exposition Nationale et Internatio-

nale de nouveautés ayant trait aux travaux du ménage urbain et du ménage rural¹. Program tej pierwszej w swoim rodzaju wystawy obejmuje: ogrodnictwo, mechaniczne dojenie krów, przyrządy kuchenne, pranie i prasowanie bielizny, krój, czyszczenie domu i odzienia, dezynfekcję, umeblowanie, gospodarkę kolonialną, higienę, wychowanie dziecka, problemat zmniejszenia służby domowej i folwarcznej, drobne rzemiosła domowe; ponadto bibliografię, filmy, plany, konferencje. Internacjonalne jury oceni wartość eksponentów, które już poczęły napływać z całej Europy. Prowincjonalne laureatki szkół gospodarstwa wiejskiego

¹) Dane powyższe zaczerpnęłam z artykułów, Melle Panlette Bernège w „Mon Cher Moi“.

²) Adres p. Bernège: Mon Cher Moi, Paris VII, 30, rue des Saints-Pères.

ubiegać się będą o puhar z ręki księżniczki Marie José.

Panna Bernège, sekretarka paryskiej „Ligi Ekonomji Gospodarczej“ i pisma „Mon Cher Moi“, zwraca się za moim pośrednictwem z gorącym apelem do wszystkich organizacji i osób, interesujących się kwestją gospodarstwa domowego, by nadesłały jej w jak najkrótszym czasie, dane, dotyczące stosowania w Polsce a) tajloryzmu w wiejskim i miejskim gospodarstwie b) elektryczności, maszyn i innych nowych metod pracy. Komitet wystawowy powierzył p. Bernège opracowanie referatu z międzynarodowego stanu gospodarstwa domowego; przyjmie ona z wdzięcznością wszelkie informacje o Polsce, którą się specjalnie interesuje²).

Felicja Sachówna.

Coś o „kursach wakacyjnych“, t. zw. nauczycielach „ludowych“ i „Przepióreczce“ *)



Nr. 19 „Bluszczu“ p. K. S. z punktu widzenia społecznego spojrzała na sprawy pedagogiczne, „Przepióreczkę“ Żeromskiego i rzeczywistość.

Nie „fachowe“ ale „społeczne“ ujęcie roli szkoły i nauczyciela w państwie jest niezmiernie cenne i wartościowe, o ile analiza społeczna dość subtelnie przenika w całość zewnętrznych i wewnętrznych przejawów życia zbiorowego. Surowość zawodowa jest najzupełniej nieuzasadniona, zamknięcie się bowiem problemów programowych, ustrojowych, dydaktycznych i t. d. w sferze fachowości rolę szkoły ogranicza do dziedziny urzędowej, biurokratyzuje i zacieśnia jej rolę twórczą w życiu społecznym. Z drugiej strony szerokie traktowanie roli szkoły i nauczyciela nakłada na społeczeństwo obowiązek głębokiego wnikięcia w kwestje zawodowe i fachowe, których dobre zrozumienie analizę społeczną czyni jedynie słuszną i wartościową.

Pod tym względem, jak i pod wielu innymi, jesteśmy bardzo za-

niedbani i tylko uczuciowe nastawienie decyduje o wydaniu sądu bardzo pośpiesznego, apodyktycznego i w niczem nie powiększającego dorobku naszej kultury społecznej.

I utwór literacki ma wszelkie prawo do traktowania go, jako zjawiska społecznego. Twórczość Stefana Żeromskiego nadewszystko. Wyrasta ona z krwi i kości naszego życia zbiorowego, tak głęboko sercem targa, że pominąć rolę społeczną jego arcydzieł znaczyłoby, nie domówić całej prawdy do końca o największym z żyjących pisarzy polskich.

O „Przepióreczce“ tem bardziej należy mówić, jako o zjawisku społecznym, gdyż komedia Żeromskiego jest pierwszym dziełem, potrącającem o konstruktywną stronę życia dzisiejszego państwa polskiego.

Mamy w komedji do czynienia z „regionalnemi kursami wakacyjnymi“ istotnie prowadzonymi przez

*) Od Zarządu Głównego Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych otrzymujemy powyższy artykuł, który w całości przytaczamy. (Przypisek Red.)

Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. Wykładają na nich profesorowie uniwersytetu, o których z taką „wewnnością siebie“ p. K. S. opowiadała, „wymowna“ nauczycielka „ludowa“. Autorkę uderzył „samozachwył“, rzecz istotnie niemiła, i „ton“, i „non-szalacja“, „niedocenie dystansu“ i t. d. Jakaś nieprzyjemna była ta gadatliwa osoba. Znacznie byłaby sympatyczniejsza, gdyby miała mniej temperamentu, skromnuszka i cicho siedziała, kiedy „starsi i mądrzejsi“ mówią, była słowem „pokorna i cicha“, uczyła się i uczyła, pocałowała w rękę „starszą panią“, a starsza pani po francusku powiedziała by wtedy do jednej młodzieńkiej ziemianki, bardzo uspołecznionej i mającej wszelkie szanse wyjścia za mąż za hr. X, że dobrze byłoby urządzić dla tych nauczycieli „ludowych“ kursa, na których i ksiądz probosz i panna Rena w „wolniejszej“ chwili mogliby coś o oświecie i Władysławie Łaskonogim powiedzieć. W każdym bądź razie „czasy są demokratyczne“.

Bo z drugiej strony profesorowie wyższych uczelni są ludźmi, znającymi się na wszystkim, nie tylko na „teorii względności“, ale

i na dydaktyce przedmiotów, nauczanych w szkołach powszechnych, a i niejednen geolog, obok wszechstronnej wiedzy o budowie ziemi głęboko wnika w psychologię dziesięcioletniego dziecka, zna wszelkie metody nauczania sztuki pisanja i czytania, wie doskonale o środkach wychowawczych oddziaływania na psychikę dziecka. Nadto jeszcze ci ludzie nauki, przeziadający w bibliotekach i laboratoriach, doskonale się orjentuja w atmosferze życia społecznego i indywidualnego chłopca polskiego lub robotnika, mieszczańca czy rzemieślnika, na równych prawach z profesorami uniwersytetu (mal à propos!) głoszącymi do sejmu, sejmiku lub rady miejskiej, czasami nawet na te same listy (mais c'est drôle!).

I jeszcze coś takiego! Otwieramy prętko i czytamy „Przepióreczkę” i tam Żeromski „w tak niekorzystnych barwach przedstawił kierowników kursu!” — Tego miłego Przełęckiego, który, jak sam mówi „lubi knajpować nocami, patrzeć na tłum pijany, tangujący, shimujący, jawujący, gdy wszyscy musują, jak szampańskie wino” — tego sympatycznego docenta fizyki, który się tak dobrze czuje „wśród wykwiutnych ludzi, wśród kwiatu kultury, wśród najsubtelniejszych pomazańców cywilizacji, którzy i t. d.”... („to i t. d. oglądaliśmy z Reną w Qui pro Quo!”) — no to jeszcze jako tako, boć Przełęcki poznał się i powiedział tej Smugoniowej czystą prawdę, że te kursy „rozwinęły w nich obok odrobiny znajomości gramatyki, geologii, historii, obok odrobiny wiadomości politycznych, niepomierną sumę ambicji, rozwydrzyły ich, stworzyły w ich duszach karjerowiczostwo”, on to doskonale utrafił, chociaż udawał.

Oczywista te kursa wakacyjne „psują moralnie”, „rozmiągają się poniekąd z celem”. „Nie dotyczy to ogółu” ale na podstawie rozmowy z tą „pewną siebie” i „nie dającą nikomu przyjsć do słowa” można stwierdzić, że „ci, dla których w pierwszym rzędzie kursa były przeznaczone, nauczyciele ludowi o najniższym poziomie wykształcenia — nie odnoszą z nich pożądaných korzyści...” „popadają w śmieszna zarozumiałość”.

Szanowna Pani! Respekt dla nauki, dla wiedzy i sąd o człowieku to są dwie rzeczy różne. Niechaj nauka sądzi wartość nauki. Pedagog sądzi pedagog... przepraszam: społeczny punkt widzenia! Może więc i rolę nauki sądzić można ze społecznego punktu widzenia? Czy kilka pytań tego rodzaju zmusiły tę gadatliwą nauczycielkę do poczekania na odpowiedź? Nie wiem, czy Szanowna Pani była na takich kursach, odmienne nieco organizował autor sztuki.

No i proszę: „Przepióreczka”, no ta, jak ją tam — Smugoniowa „bardzo wymownie t. zn. nie dając nikomu przyjsć do słowa — rozprawia” następująco: „ze zwyczajnych kołków, płonek, kłaczów, z karje-

rowiczów i prostaków, z leniwców i oślaków wytworzył pan (niby kierownik kursu) zastęp świadomych pracowników, hufiec entuzjastów, grono badaczów... Wymienię panu Grzegorza Zielonkę, Pawła Smalskiego, Ryka, Władka Wrone... Coś dziwnego, jeden z profesorów np. „budzi zachwyt swymi wykładami pospolitej, nieefektywnej gramatyki — pobudził nauczycieli ludowych do studjów samodzielnych, do pracy nad mową... Nawet ten, jak go tam — Smugoń z takim zapalem mówi: „co się dzieje, gdy przychodzą wykłady i dyskusje o gwarze tutejszej i gwarach innych!”

Tylko zapal, wiara w naukę, która czyni skalą swego entuzjazmu życiowego zabawnymi zacnych przedstawicieli nauki, gotowych odbudować zamek porębiański kilkoma złotymi pustych kieszeni — ta wiara w naukę i entuzjazm dla niej nie pozwoli zapomnieć Smugoniowi, że Przełęcki jest mężczyzną, odbierającym lub chcącym mu odebrać żonę. Tych dwóch ludzi przemawia do siebie i sądzi siebie po ludzku. Skala tych sądów, ich forma jest różna — jednego żywiołowa, bezpośrednia — drugiego subtelniejsza. Jeden jest twórcą, drugi pracą. Jeśli twórczość nas unosi w wyżyny, praca umacnia i utrwała wartość naszej egzystencji.

Coś się zmieniło dzisiaj — mniej jest pokory, ginie uniżoność, brzydzą się wszelkiem płaszczeniem ci nowi nauczyciele ludowi — jak chcą — szkół powszechnych, marzących o tem, by każdy obywatel Rzeczypospolitej przeszedł przez siedmioklasową szkołę powszechną, by nikt w Polsce mniejszego cenzusu nie miał wykształcenia!

„Tęgie chłopaki! Niech im Bóg da zdrowie i wszystko dobre!” jak mówi Przełęcki i autor sztuki. alp



DZIAŁACZKI OKRESU KONSPIRACYJNEGO

(ciąg dalszy)

Drugi raz odezwało się „Koło Kobiet Korony i Litwy” w r. 1896, gdy ugodowcy pociągnęli całe niemal społeczeństwo do radosnej manifestacji na cześć Mikołaja II, po raz pierwszy po wstąpieniu na tron odwiedzającego Warszawę.

Żadnego egzemplarza odezwy tej nie posiadam. Nie drukowana, a odbijana na hektografie, przeszła ona bez wrażenia; zagłuszyły ją manifestacyjne okrzyki i fanfary powitalne.

Urzeczywistnieniem natomiast

uroczystych ślubowań pierwszej odezwy stała się praca, zapoczątkowana właściwie poza „Kółem Kobiet Korony i Litwy”, a i potem dość luźno z niem związana.

Inicjatorką jej, twórczynią i długoletnią kierowniczką była Cecylja

Śniegocka, jedna z najwybitniejszych i najszerzej w Warszawie znanych postaci tego okresu.

Do pracy konspiracyjnej szła ona z niezachwianą wiarą w powodzenie, ze złotym humorem, który nie odstępował jej w najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych sytuacjach, a także z jakimś wrodzonym amatorsstwem walki. W owych czasach, gdy trwoga, jak robak jadowity, rozkładała serca, gdy najłatwiej było o nastroje łzawe i tani, a obezwładniający pesymizm, właściwości usposobienia p. Śniegockiej były wprost bezcenne i, jednając jej ogólną sympatię, stanowiły same przez się, przy obcowaniu z nią, jakiś rodzaj leku dla chorych dusz ówczesnych.

Za teren pracy swojej obrała Warszawę, gdzie po przedmieściach i wybrzeżach wiślanych, gliniankach i śmietniskach wałęsały się tysiące dzieci, pozbawionych nauki, zaprawiających się od dzieciństwa do różnych łajdackich procederów. Tym dzieciom postanowiła dać szkołę i wychowanie wbrew wszystkim zakazom i ukazom carskim. A gdy raz postanowiła — było to nieodwołalne. Wy różniła ją bowiem żelazna wola i nieporównana energia. Wyobraźcie sobie obok tych przymiotów serce miękkie, do łez wrażliwe na każdy obraz nędzy i cierpienia, a przytem, z głębi niezaspokojonego macierzyństwa płynące ukochanie dzieci.

Taki człowiek stanął wówczas do walki z panującym systemem ciemnoty.

Nauczona doświadczeniem, przeprowadzonem w Otwocku, gdzie bawiąc na kuracji klimatycznej, zorganizowała u siebie tajną szkołę na 40 dzieci i z najlepszymi rezultatami prowadziła ją przeszło dwa lata, nie zwróciwszy na siebie uwagi władz — zabrała się do pracy organizacyjnej w Warszawie z zupełną już pewnością siebie.

Zwołane pod jesień 1894 roku zebranie wybitnych przedstawicieli społeczeństwa, któremu ta odważna pionierka oświatowa przedstawiła opracowany przez siebie plan pracy, cel jej i zadania, orzekło



przez usta zasłużonych uczonych i ludzi, cieszących się ogólnem poważaniem, że projekt cały jest szaleństwem, że po paru tygodniach, a najwyżej paru miesiącach organizacja cała znajdzie się pod kluczem. Ostrzegano, by nie mnożyć „niepotrzebnych” ofiar, nie gubić ludzi t. t. d i t. d.

Zaledwo parę osób przyrzekło jej poparcie i współpracę.

Jednocześnie kilka młodych sił z Koła Kobiet zgłosiło się do roboty.

Niezrażona opinią ludzi poważnych, uparta niewiasta przeszła nad nią do porządku dziennego i zabrała się do pracy z tymi, którzy się nie bali, i z tymi, co, przewidując nawet możliwość katastrofy, zdecydowani byli na najcięższe ofiary.

Już w pierwszym roku 250 dzieci umieszczono w tajnych szkołach.

Organizacja miała swoisty, szeregiem doświadczeń wypracowany typ i własne metody postępowania.

Zapisy do szkół odbywały się z początku w mieszkaniu p. Śniegockiej przy ul. Chmielnej № 64. Tam egzaminowano dzieci i stosownie do stopnia ich wiedzy, czy niewiedzy wyznaczano im szkołę. Po odpowiedniej porcji pouczeń, jak należy milczeć o całej sprawie, jak ukrywać książki i kajety pod ubraniem i t. d. rodzice lub dzieci same otrzymywały kartki z adresem szkoły, z wyznaczonym dniem i godziną zbiórki. Kartki takiej

niewolno było zgubić, ani oddać nikomu, niewolno też było pytać o drogę. Zresztą, choćby wpadła w niepowołane ręce, kartka taka nie ujawniała jeszcze niczego. Wśród policji rosyjskiej nie było Scherlocków. W sztabie tajnego nauczania przestrzegano przede wszystkim, żeby dzieci nie wydały przypadkowo centrali, nazwisk osób, kierujących sprawą.

Jednocześnie z zaliczeniem dziecka do tajnej szkoły, przeprowadzano nazwisko jego i adres przez dwie książki, oraz skorowidz alfabetyczny, który w razie potrzeby pozwalał odszukać natychmiast nazwisko i adres malca. Te książki strzeżone były bardzo pieczołowicie, a na noc wynoszone w bezpieczne i podręczne miejsce, bo do komórki stróża w tym samym domu. Dla nieświadomych dodaję, że stróż stanowił w owe czasy najniższy organ policyjny, a jako osoba mająca możliwość kontrolowania czynności mieszkańców domu, był istotnie czynnikiem ważnym. Aleksander II w pamiętnej odezwie stróżom domowym polecał bezpieczeństwo swojej osoby.

W domu № 64 przy ul. Chmielnej był wówczas stróżem Piotr Świtalski, uczciwy polak, zresztą analfabeta. Jemu organizacja tajnego nauczania zawdzięczała w dużej mierze bezpieczeństwo swoje i trwanie. Nietylko bowiem zabierał na noc papiery do siebie, ale i, wtajemniczony we wszystko, ostrzegał o każdej groźbie, o każdej chmurze, zjawiającej się na horyzoncie.

Papiery Tajnego Nauczania spoczywały u niego w spokoju, a rannem rewirów, zaszedłszy doń po całonocny raport, siadał zazwyczaj na paczce, zawierającej zbrodnicze dokumenty oświatowe. Wtedy były one już najbezpieczniejsze.

Podobnie, jak dzieci i rodziców należało pouczać o wszelkiego rodzaju ostrożnościach i wykrętach, nauczycielki oraz właścicieli lokalów szkolnych. Przyznać trzeba, że wszystko to było prawdziwą akademją kłamstwa, było tem złem koniecznem, które niesie niewola.

(c. d. n.)



ADOLFINA GORZYCKA-WIELEŻYŃSKA

Przerazająco nagle wyrwana została Adolfina Gorzycka-Wieleżyńska ze społeczeństwa, któremu dała cztery dziesiątki lat pracy o wysokiej ofiarności i pożytku. Urodziła się w r. 1866 w Bąszowcach w Małopolsce Wschodniej. Od młodych lat umysł jej żywy, ciągnący w kierunku szerszych zagadnień przyrodniczych i filozoficznych, zaczął się wyłamywać z ram szablonowej edukacji kobiecej. Usamowolniła się szybko i stanęła na placówce pracy zawodowej, którą zamieniła w stanowisko wyjściowe dla szerokiej służby idei. To wychowawstwo. Od r. 1892 bez przerwy pracowała w szkolnictwie na prowincji galicyjskiej początkowo, potem we Lwowie, przechodząc jednocześnie sama wyższe studia filozoficzne w uniwersytecie lwowskim, pracując w laboratorium botanicznym i zaznaczając się czynnie w seminarjum psychologii eksperymentalnej prof. Twardowskiego.

Wcześniej też doszedł do wyrazu jej poryw społeczny i najwybitniejszy rys charakteru: inicjatywa, dar skupiania ludzi dokoła punktu, który był punktem jej zainteresowań i serca. Jako przewodnicząca Koła Kobiet Towarzystwa Szkoły Ludowej zapoczątkowała we wrześniu r. 1910 kursy seminaryjne dla młodzieży obojga płci, prowadzone metodą pracy samorozwojowej, jak tę ukochaną swoją ideę nazwała. Myśl jej wybiegła ku nowym formom kształcenia, któreby uczących się wyprowadziło z biernej roli obiektów nauczania, kładąc nacisk na moment odśrodkowy, samodzielny ruch ku wiedzy, a tem samem ku życiu.

W r. 1911, znowu z jej wyłącznej inicjatywy, powstaje sekcja pedagogiczna we Lwowie, która pod jej kierunkiem trwa do wojny. Takie same sekcje tworzy w Stryju, Drohobyczu, Stanisławowie, Bąszowcach, i t. d. dając prowincjonalnym miastom ówczesnej Galicji owoc najpostępowszej myśli i czynu wychowawczego. W roku 1913 wygłasza we Lwowie kurs psychologii i logiki na letnich kursach przygotowawczych dla nauczycieli, wogóle jest na gruncie lwowskim jedną z najpierwszych kobiet, które ukazały się na mównicy publicznej.

Nadchodzi wojna z tragicznym przejściem Lwowa w ręce rosyjskie. Wytracona z bujnej pracy i z zawodu, ś. p. Wieleżyńska w tułaczem, a potem obozowym życiu, jako żona pułkownika legionów, ze swego cudownego daru inicja-

tyw krzesze w jednej chwili nowe kształty pracy. Najpierw w Krakowie poświęca się opiece nad rannymi żołnierzami w szpitalu, rzucona dalej, do Wiednia, zakłada gospodę dla legionistów i przez rok stoi na jej czele, żegnana przy ustąpieniu wzruszającymi dowodami i darami szczerych serc żołnierskich! Po gospodzie przychodzi kolej na Ligę Kobiet N. K. N. w Wiedniu, która działalnością swoją i nowymi ogniskami żołnierskimi zaćmiewa rozmach pracy pierwszej gospody. Nawet krótki pobyt na Węgrzech, w Marmaros Sziget zaznaczył się nową organizacją — herbaciarnią dla legionistów rekonwalescentów. Pracy rąk towarzyszyły pomysły teoretyczne, zrosłe z najgoręcej wtedy (r. 1916) palącą się wojną. Chciała opisać działalność kobiet polskich podczas wojny i zarząd archiwum wojennego przy Akademii Umiejętności w Krakowie powierzył jej redakcję tego dzieła pracy. Wydawnictwo nie doszło do skutku.

Powróciwszy do Lwowa jeszcze za czasu burzy, stanęła na nowo przy nauczycielskim warsztacie, a po przeniesieniu do Warty, w przeciągu paru lat niepodległości, umiała i tu zapuścić korzenie, dając się poznać światu wychowawczemu, jako bojownica nowych haseł, prelegentka na Wolnej Wszechnicy, a przede wszystkim czynna założycielka szkoły pracy samorozwojowej (1921), która w stolicy wolnej Polski z inicjatywy tej niezmordowanej kobiety stała się ciałem. Grono osób, spojonych jej osobistym zapałem, zaczęło kłaść fundamenty. Dwa ostatnie lata Towarzystwo przepracowało doskonale i systematycznie, prowadząc kursy dla nauczycieli, organizując szereg odczytów, wykładów, wieczorów dyskusyjnych na temat nowych metod nauczania i w ich imię stając odważnie do walki ze skostniałymi formami i bezdusznym nawykiem.

W chwili, gdy zamknięto bilans dwuletnich prac wykazem moralnego zwycięstwa, gdy na posiedzeniu ogólnym, w piątek zaprzyszły, zaczęły się rysować plany jeszcze większych rozszerzeń, pisma-organu

Towarzystwa, szkoły pracy na Żoliborzu, — wprost wierzyć się nie chce, że w czterdzieści osiem godzin później przewodnicząca, dusza sprawy, już nie żyła. Ostatni dzień jej jeszcze, aż po wieczorną godzinę śmierci, wypełniony był pracą — przygotowaniem zebrania na Żoliborzu i dokończeniu książki, nad którą zeszły jej długie miesiące pisania. To rzecz o szkole samorozwojowej, część II, praktyczna; pierwsza teoretyczna, ukazała się jeszcze w r. 1922. Poza tem ś. p. Wieleżyńska pozostawiła wielkie studium naukowe: „Wyniki badań zmęczenia umysłowego“ (1921), oraz długi szereg prac mniejszych pedagogicznych po pismach specjalnych i codziennych. Większość ich drukował Lwów, kilka ukazało się w warszawskich przedwojennych „Nowych Torach“. Publicystyczna praca zmarłej obejmowała nadto samodzielne redagowanie „Spraw nauczycielskich“, dodatku do Lwowskiego „Wieku nowego.“ I „Bluszcz“ czekał na obiecaną jej współpracownictwo, jednak, wśród mnóstwa prac, wywiązać się z niego nie zdążyła.

Krótki szkic wystarcza, by wykazać bogactwo dokonanego dzieła, które tylko pod przewodem prawdziwej idei zmieścić się może w życiu, nawiedzanem przez troski, dzielonym między zawód i rodzinę, zamroczonem czterolecie tułaczki i ciosem, jaki uderzył w nią przed dwoma laty przez śmierć syna z pierwszego małżeństwa Wincetego Gorzyckiego, młodego historyka o dużej, niespełnionej, niestety, przyszłości.

Dopaliło się wraz z nią niespodziewanie życie, pełne ruchu i myśli, serce bardzo dobre i ku ludziom najszczerzszymi uczuciami idące, patriotyzm głęboki, który od samego zarzewia ruchu wolnościowego stał u sztandaru niepodległości. Zostało, jak testament, po tej niezwykłej kobiecie Tow. szkoły pracy samorozwojowej w Warszawie. Ubytek tworzącej nie powinien tworzyć społeczeństwa i o zawiednięcie dzieła. Stoją solidarnie położone fundamenta, a choć centralne ognisko zagasło, umiłowanie autorki tyle wlało w sprawę żywotności, że, wierzymy, nie zostanie ona sierocem w społeczeństwie wspomnieniem czyjejś myśli i energii, lecz związana z jej imieniem, wzbogaci wychowawstwo polskie o nowy i z każdym dniem lepiej oceniany dobytek.

Julja Dicksteinówna.



MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

ŚWIEKRA I SYNOWA

(Współczesne)

7

Spotkać się w tym dzikim lesie ludzkim z duszą predestynowaną, któraby zdjęła z nas nieznośne uczucie samotności, a która nicby nie ciążyła, będąc naszym drugim ja, porozumiewajacem się z nami bez słowa — marzenie to, głęboko tkwiące korzeniami w wiecznej psychologii człowieka, pokutuje na przedwiośniu życia w głowie młodej dziewczyny, która o miłości marzy i na nią czeka... Życie tymczasem przynosi jej miłość całkiem inną. Miłość ta jest drapieżna i paląca — ale czar jej porywający i mus nieprzeparty! Dziewczyna bierze to, co rzeczywistość daje — chowając do archiwum pamiątek marzenie mistyczne, jak wybladły konterfekt osoby umarłej. Za to w jesieni życia spotyka ją znów niespodzianka: dusza pokrewna jest!... zjawiała się u jej boku — wyrosła przy niej zakwitła róża na tej zielonej gałęzi, którą wypuściło ze siebie jej serce: jest to jej dzieckol

Duszę kobiety rozumie i kocha dopiero jej syn.

Syn jej dopiero daje to, czego w miłości nie zaznała nigdy, czego jej nie dał mężczyzna — kochanek, zwykle w swoich zapalach brutal i zwierzę.

Z synem dopiero zazna czaru rozmów bez końca i zwierzeń, słodczy obcowania z sobą istot niezmiernie bliskich. To wszystko da jej dopiero Idylla matki.

Zdawała ostatnie egzamina z medycyny, gdy oświadczył się o jej rękę profesor Sielicki, poznawszy ją w ostatnim roku, słuchającą jego kursu. Michalina skwapliwie ofertę przyjęła. Był to czterdziesto-kilkoletni piękny jeszcze mężczyzna, sławny profesor, wielki doktor, finansowo postawiony świetnie. Profesor kochał swoją młodą żonę z tą domieszką tkliwości rodzicielskiej, jaką miewa zawsze w związku miłosnym człowiek dużo starszy dla wiele od siebie młodszego. Rzadko kiedy kobieta jest tak szczęśliwą w małżeństwie, jak była pani „Myszka“. Jeden tylko spotkał ją zawód: w narzeczonym widział swego mistrza, obiecywała sobie, że mieć go będzie w mężu.

Mysł była żywiołową potrzebą jej intelektu, który od natury posażny, otrzymał już duże wyrobienie. Mąż jej nic a nic w tem nie przeszkadzał, ale i nie dopomagał — nie brał tej kwestji na serjo. Zastała dom bogaty, wyregulowany jak zegarek — służba, opływająca w dostatkach, służyła precezyjnie i z zapalem. Pani tego domu miała rzadki w życiu kobiety przywilej: wolno jej było myśleć. Ona też pracowała nad sobą wiele. Czasem, założwszy palcem jakiś tom imponujący, wpadała z nim do gabinetu męża, u niego, jego autorytetu szukając krytyki dla tego, co czytała i dla myśli, które się przy czytaniu zrodziły. Mąż z najwyższą grzecznością przerzywał sobie najpilniejszą robotę, słuchał jej z namaszczeniem. Czasem wysoko podniesione brwi zdawały się zdumiewać: „patrzcie, patrzcie, jaka ta Myszką jest mądra!“ — ale na pytania dawał jakieś takie odpowiedzi wymijające... Nareszcie wstawał z fotelu, brał w obie ręce jej piękną, małą głowę, całował w czoło i w oczy, mówiąc: „Niechno Myszunia ubierze siebie i Wacicia, pojedziemy powozem za miasto — potem wpadniemy do Hersego, u którego dziś w oknie wypatrzyłem bardzo piękne dla Myszuni szatki — a wieczór spędzimy w operze. Rzucam wszystko, jestem dziś na służbie u mojej pani.

— Skądże taka łaska, Henryku?

— Ano, skoro Myszunia bierze w ząbki takie paskudztwo, jak medycyna, to widać, że się nudzi. A piękna kobieta, która się nudzi, ho! ho! to tygrys!“

W jej mądrej i miłej twarzy tak nic drapieżnego nie było!...

Skonfundowana trochę, sprosto wywała: „Ja nie dlatego biorę się do medycyny, że się nudzę — ale dla tego, że nudzę się bez medycyny.



Po kilkunastu latach pożycia człowiek ten zgasł, jak zdmuchnięta świeca — obyczajem wielkich pracowników zmarł prawie chodząc. I był głęboko, serdecznie i długo płakany.

Świetność bytu zgasła ze śmiercią męża, ale pozostał byt zabezpieczony, wygodny dla niej i dziecka, bez pracy. Więcej nie wymagała niczego natura jej spokojna. Medycyna oddawna już przestała ją zajmować, zato rozwinęła się w niej passja ciekawości bezinteresownej: wiedzieć. Czytała dobrze i wiele. Serce zadawałniało się zupełnie miłością dziecka... Dziecko to było tak mądre i dobre, że wychowywało się właściwie samo. Nie trzeba go było napędzać do nauki, wdrażać mu dobrych obyczajów, on to wszystko robił z własnego popędu. Nie trzeba go było pilnować, aby nie palił papierosów, nie grał w karty, nie włóczył się i nie wdawał w złe towarzystwo, on do tego wszystkiego nie miał najmniejszej ochoty. Wiek czasem brał górę i Wacio lubił hałaśliwie podokazywać parę godzin. Ale największą jego przyjemnością było rozmawiać z matką, słuchać, co ona mówi. Mając już lat jakich ze trzynaście, czternaście wsuwał się niespostrzeżenie do jej gabinetu i, wtulony w kącik, lubił słuchać rozmów, jakie się tutaj prowadziły w małym kółku jej przyjaciół, głośnych w świecie nauki i sztuki.

„I cóż ty z tego wszystkiego zrozumiał? — kurczatko moja! rzekła, śmiejąc się, odkrywając go kiedyś po rozejściu się gości za szafami na małym tabureciku, w katalepsji zamyślenia — „Powiedz?“, — pytała, podnosząc ku światłu lampy twarz jego spuszczoną.

Chłopiec spojrzał matce w oczy z wyrazem nad wiek dojrzałym, zlekka wyzywającym i dał na zapytanie odpowiedź wyczerpującą. Zrozumiał! — ach i jak jeszcze rozumiał! Wieczór ten nazywała we wspomnieniach „Objawieniem Syna“. Mniemała, że rośnie przy niej miłe, dobre, zwyczajne dziecko, a to było w całym tego słowa znaczeniu dziecko cudowne!

(c. d. n.).

M A R J A D A B R O W S K A

1

TYDZIEŃ W LUBELSKIM

PODRÓŻ DO FRAMPOLA.

Przed wyjazdem Wanda i ja piłyśmy herbatę. Była burza. Za oknem, w cieniach wieczoru pełno błyskawic i deszczu. Wacek dał mi notes i ołówek, a Marjan trzy srebrne złote.

Miałyśmy jechać z plecakami, gdyż Wanda utrzymuje, że tylko w ten sposób jest się niezależnym od rzeczy. — Słyszałam o człowieku, który ożenił się z „babą“, żeby się od niej odczepić, więc mogę się pogodzić z tem, że aby się niezależnić od rzeczy, trzeba je dźwigać na sobie. Posiedziałyśmy nieco w tych plecakach, ale były o wiele za duże. Po chwili przepakowałyśmy rzeczy do walizek. — Następnie wyjechaliśmy na dworzec Wschodni dwoma dorożkami, gdyż nasi panowie nas odprowadzali — Wanda przewidywała wiele trudności z powodu braku plecaków, które, jak wiadomo, torują każdemu drogę — i z którymi można się było „być gdzie przespać“. Lecz trudno — stało się — jedziemy z walizkami! Około mostu Kierbedzia deszcz przestał padać. — Na moście było ponuro, czerwona światełka ledwo go oświetlały — wszyscy się wlekli nogą za nogą — z obu stron czuć było wielki obszar ciszy i wody.

Za mostem dorożki lazły przez mokre, przestronne ulice Pragi.

Na dworcu okazało się, że tym samym pociągiem jedzie parę wagonów z żydami, emigrującymi do Palestyny. Wrzask, tłok — i śpiew. W naszym przedziale było pusto. Pociąg odszedł o jedenastej. — Prawie cały czas spałyśmy pół leżąc, albo nawet zupełnie leżąc, o ile krótkodystansowi pasażerowie znikali na małych stacjach. Gdy pociąg stawał — najpierw było słychać stłumione śpiewy żydów, a potem śpiew słowika. Słowiki śpiewały przy każdej stacji tak mocno, że dawały się słyszeć jeszcze wtedy, kiedy pociąg ruszył. O świcie młodzi żydzi w skautowskich ubraniach wyskakiwali z palestyńskiego wagonu i mężnie czerpali wodę ze studni. W Topolczy okazało się, że jeden z emigrantów uciekł, czy zginął. O dziewiątej przyjechałyśmy do Zwierzyńca. Czekwały na nas konie z Frampola. Nasz woźnica, nazwiskiem Świszcz, jest mieszkańcem Frampola i, jak wszyscy mieszkańcy tej osady jest rolnikiem, oraz tkaczem. Wszystko tu zna

i wszystko nam pokazuje. Po tej stronie Zwierzyńca stoją naokoło domki zarządu ordynacji. Są pozabawione wszelkiego stylu, czyste, eleganckie, otoczone kwiatami i zielenią, chciałoby się powiedzieć upasione i tchnące dobrobytem. Olbrzymi staw, na nim kępa — na kępie kościółek, do którego prowadzi mostek — bardzo ładnie. Tu znów szkoła i stowarzyszenie spożywców, dwie rzeczy, które widzi się już po drodze tak często jak, dawniej karczmy.

Za obrębem „zarządu“ droga robi się coraz gorsza — właściwie są to nieokreślone duchty i rozjazdy, taczające się po rzadkim lesie. Las jest wysoki i smutny. Sosny są szarobure, na ziemi rośnie krótki, szary porost czegoś, co ledwie jest zielenią — ziemia bardzo piaszczysta — wóz pomalutku snuje się przez jej miękkość. Podróż odbywa się tu w ten sposób, że idzie się piechotą koło swojego zmęczonego konia.

Pytałyśmy się pana Świszcza o nazwę, każdej mijanej wsi i o Frampol.

Mówił, że, owszem, miasto jest wesołe.

— Panie przyjadą, to same zobaczą.

— Panie zobaczą, mówił co chwile.

— To czysta wieś, rzekł nakoniec — by nie rozbudzać zbyt nie nadziei.

W „czystej“ tej wsi jest szkoła „powszednia“ — do której chodzi syn Świszcza.

Syn ten jest dobrym chłopcem i od razu widać, że chlubą ojca. — Ma jednak dwie wady.

— Już za dużo siedzi nad książkami — a po drugie... putwał.

— Książki i putwał — tylko to ciągle.

Putwał? Bardzo dobrze, bo się przecież w to wali. Ostatecznie jeszcze lepiej byłoby po prostu „butwał“, ale po co wymagać zaraz doskonałości?

Postanowiłyśmy podtrzymać tę rozmowę.

— To chłopcy grają w ten football — zapytujemy, ażeby wiedzieć na pewno.

Świszcz obrócił ku nam spólną twarz i powiedział:

— Proszę pan! U mnie w podwórzu to niema takiej rzeczy, żeby on jej nie kopnął — Czy koszyk, czy wiadro, czy co, każdą rzecz weźmie i kopnie.

Nastąpiło nieokreślone milczenie, które mogło wyrażać zarówno aprobatę, jak zgрозę.

Co prawda coraz trudniej było rozmawiać. — Droga zaczęła się robić twarda, jak opoka, twarda i biała. — Piasek zlepiony jakąś wapnistą gliną. Z gruntu tego na deszczu robi się maź, w której koła wypracowują pilnie doły. W pogodę tak poorana ziemia zmienia się w grudę nieustępliwą, jak żelazo.

Po grudzie tej skaczemy to na dół to znów do góry, hałasując piekielnie. Zaczynają się wzgórza. Biedny koń bez hamulca ledwo nadąża uciekać przed wozem, który leci z górki na pazórki.

— Gdzież ten Frampol? — zapytujemy nieśmiało. Jest już coraz bliżej, ale nie można do niego dojechać. Już był tuż tuż — gdy okazało się, że nie — że to jeszcze, aby tylko „ta jedna“ wieś.

W „tej jednej“ wsi stała między drzewami piękna, drewniana cerkiewka.

Niedaleko Frampola jest rzeczka Łada — przez którą budują most. Przejeżdża się ją napół brodem, napół przez jakieś deski. — Dzięki temu wózek zanurzył się na chwilę w przecudną łąkę rosistą i nieprzytomnie kwitnącą wszystkimi jaskrami oraz firletką.

Za łąką zaczęło się dojeżdżanie do Frampola. — Trwało to jeszcze ze trzy kwadransy. — O pierwszej wjechałyśmy w uliczkę, zakończoną widokiem jarmarku.

— To już Frampol — szepnęła Świszcz i uśmiechnęła się do nas prosząco. (c. d. n.)



MARJA - JEHANNE WIELOPOLSKA

DWADZIEŚCIA PIĘĆ JEDENAŚCIE

(R o m a n s)

2

ROZMOWA IV.

— Trrrrdwadzieścia pięć jedenaście. Tak. Tak nagle przerwała pani wczoraj rozmowę. Dlaczego?

— Ktoś wszedł i...

— (bez naciszku). Kobieta czy mężczyzna?

— Nie znam tu ani jednej kobiety.

(Pauza)

— Interesujący?

— (W zamyśleniu) Kto?

— Ten, co wszedł wczoraj?

— Dość interesujący.

— A dlaczego, pani nie wznowiła ze mną rozmowy, skoro wyszedł ów pan „dość interesujący“?

— Była już zbyt późna godzina.

— (Z domieszką szyderstwa i irytacji). Tak późno... wyszedł?

— Tak późno. Ale, ale, panie Suedi! Jakżeż się pan sprzeciwia swoim twardym zasadom! Pan ciągle indaguje od jakiegoś czasu!!!

(Pauza)

— (z odcieniem jakby szorstkim). Można by przemyśleć pewien problemat, mianowicie: o ile pożyte, że tak powiem telefoniczne, wpływa na charakter i zwyczaje danego osobnika.

— Tylko, że terminologia socjologiczna, która zna pożyte małżeńskie, rodzinne, towarzyskie, międzynarodowe, nie zna, o ile mi wiadomo, pożyte telefonicznego.

(Pauza)

— Nie była pani dzisiaj na Corso kwiatowem?

— Byłam, lecz bardzo krótko.

— Dziwne. Ja też byłem.

— Dlaczego dziwne? Czy pan taki anachoreta?

— (Z lekką irytacją). Nie wydaje się to pani szczególnem, żeśmy obok siebie przechodzili, nie wiedząc, obojętni? Żeśmy ciskali sobie kwiaty nawzajem...

— Nikomu nie ciskałam kwiatów.

— Ja też. Chociaż, nie. Przyznam się pani, że jednej, jedynej rzuciłem pęk różowych lewkonji. Włosy miała jak z ognia złote, suknię bardzo lekką, popielatą, jak dym, kapelusz cienisty, także, jak z popielatego, nieuchwytnego dymu, i była cała otulona we futra, mimo skwaru. Jechała sama powozem, bardzo skupiona, obca i daleka. I także taka nieuchwytna, jak wszystko wokół niej. Pełno by-

ło na jej powozie, na jej koniach lewkonji różowych, a że trzymałem w ręku takichże pęk — bo ja wiem skąd się wzięły? — rzuciłem je do powozu, na okryte futrem nogi.

(Milczenie)

— Tylko dlatego, że... (ociągając się), że miała lewkonje wokół siebie?

(Milczenie)

— Nie. Może nie tylko dlatego. Pani Ewo! (z wahaniem) Pani jest blondynka, prawda?

— Skąd panu na myśl przyszło, że jestem blondynką?

— Bo pani ma głos kobiety o jasnych włosach. Brunetki mówią zazwyczaj bardziej gardlanym, często kontraltowym głosem. Ten timbre głosu, o ile go chwytam przez telefon, jest miękki, wysoki, dzwiękliwy, jak szkło. Trochę też dziecinny. Ta pani samotna z lewkonjami na Corso dzisiejszem napewno ma ten sam głos. Myślałem o tem, patrząc na nią. Stanowczo jest pani blondynką...

— No, nareszcie powrót do zasad! Nareszcie twierdzenie bez pytań, które są poniżej pańskiej godności...

— (Przerywa) Pani nikogo nie zauważyła specjalnego na Corsie? Pani Ewo, nikt nie zdołał pani spojrzenia zatrzymać na chwilę?

Myślę, że nikt. To tak trudno. Nie zastanawiałam się zresztą. Jeżeli jednak panu chodzi o dokładne informacje...

— O dokładne.

— To był jeden pan.

— Może ten mój znajomy, ten „dość interesujący“?

— Nie. Inny. Stał przy jakimś uderzająco pięknem drzewie rozkwitłem, bardzo szczupły, wysoki, a przy nim sloughi. Obaj cieńcy, jak sztylety i ciemni. Ów pan miał szramę białą przez twarz od prawej skroni do lewego policzka...

— Dziwne.

— Co znowu dziwne? Ta szrama?

— Nie. Coś zgoła innego. (Po chwili, jakby zmienionym głosem). A pani nikt kwiatów nie rzucił pod nogi, pani Ewo? Żaden samotnik z psem, cienkim, jak sztylet?

— Byłam, jak dawne infantki hiszpańskie: nie miałam nóg, nie pokazywałam nóg... (Dalekim znużonym głosem) Bo może panu wiadomo, że infantkom hiszpańskim przed

wiekami nie wolno było nóg ukazywać ludowi.

— To i cóż? Nie mówi mi pani, że dlatego nikt nigdy infantkom nie rzucał kwiatów pod nogi... Tak dzisiaj cicho i nie wyraźnie mówi moja infantka...

ROZMOWA V.

— Dwadzieścia pięć jedenaście? Hallo!

— Wie pani, że już od dwóch godzin stoję przy telefonie i czekam na pani dzwonek niemiłosierny. Tak mnie pani popsula.

— (Żałośnie). Chciałabym wiedzieć, czy ten dzwonek jest niemiłosierny dlatego, że nie dzwonił, czy dlatego, że teraz dzwoni?

— Niech pani będzie miłosierną, kochana pani i nie żąda... wyznań... conajmniej przedwczesnych... Nie odpowiadam w dodatku za siebie dzisiaj, bo za długo czekałem na dzwonek.

— Na ów niemiłosierny... Przeszkadzali mi dzisiaj znowu.

— Czyżby znowu ten pan „dość interesujący“?

— Znowu.

— (z nieco sztuczną żartobliwością). Jakoś mnie zaczyna niepokoić ten pan, który ciągle do pani powraca...

— Mnie też.

— Nie rozumiem. Co pani powiedziała? Tak pani niewyraźnie mówi i jakby zdyszana... (Niespodziewanie prawie z gniewem). Co ten pan... chce... od pani?

— On? Niczego. Przynosi coś raczej, a przynajmniej tak mu się zdaje.

— (nerwowo). Jakiś maniak chyba?

— Zostawmy go w pokoju, panie Suedi. Są manjacy, którym się zdaje, że zdrowie, a tymczasem, ani to, ani tamto nie jest tak bardzo przenośne i nośne...

— Pani zresztą zapewne nie potrzebne ani jedno, ani drugie, radzę więc za drzwi wyrzucić tego manjaka. Kategoryczne środki są czasem wskazane.

— Myli się pan. Raczej mi potrzebne i jedno i drugie.

— I on?

— I on.

— Nie śmiem naglić o wyjaśnienie.

— Pan nie lubi wyjaśnień. Nie chcę czynić tego, co pan nie lubi.

— Taka pani słodka i uległa, pani Ewo?

— Nie. Bierna tylko jestem. Mnie tak nic nie kosztuje ustąpić i spełnić czyjaś wolę!

— Ach tak!? Może kiedyś — kiedyś — przecież się ośmielę panią o coś poprosić, choć sam także nie lubię naginać ku sobie wonnych gałęzi z drzewa przeznaczeń. W tym wypadku będę miał mało trudu. Nie będzie potrzeba przeanielać niczyjego opornego serca, skoro ono nieoporne i anielskie... Przrzeka pani spełnić kiedyś moją pierwszą prośbę?

— (Prawie poważnie). Przrzekam. Chyba, że mi się coś spóźni, ktoś spóźni. Wszystko się spóźnia w moim życiu. Ale à propos... U nas powiedział jeden poeta: „Co do mnie, wiem, jak to praca pusta, serce kobiece na czas przyanieltć“...

— Gdzie: u nas!?

— W Polsce. Daleko.

— Pani jest Polką? Z tego kraju, który ma kształt ludzkiego serca na mapie, gdzie dużo śniegów leży skrzących i gdzie w pałacach i chatkach jaskółki lepią swoje gniazda, zwiastujące szczęście?

— W mieszkaniu mojem żadna jaskółka szczęścia nie zwiastowała, nie bez przyczyny zapewne, a śniegów nigdy nie widziałam, bo zawsze byłam tutaj w zimie.



Dlaczego? (Prawie natrętnie) Pan Ewo, dlaczego?

(Pauza)

— Dlatego, aby... (nagle z posępnego, staje się głos forsownie żartobliwy). Abyśmy mogli rozmawiać ze sobą telefonicznie. To takie proste. Wszystko ma swoje skutki i przyczyny, ciekawy przyjacielu.

— Błogosławię im, jakiegokolwiek one są.

— Nawet pan nie wie, czemu błogosławi.

— Niczego nie wiem i tarzam się w rozkoszy mojej niewiedzy. Wasz Bóg chrześcijański jest ponoś wszechwiedzący — mój barbarzyński Bóg jest niewiedzący i tylko takie bóstwo mogę czcić, co nic nie wie, jako i ja...

— O jakże pan małe stawia bóstwom żądanie! (c. d. n.)

J U L J U S Z W I R S K I

6

IDYLLA NA ARKTYKU



Nazywała go ojcem, bo tego sobie życzył, ale gdyby kazał nazywać się Bogiem, nie zawahałaby się ani na chwilę i oddałaby mu cześć boską. Przecież o-

bojętnem jest, czy się jest kochaniem Boga, czy człowieka, byle by się było bardzo kochaną. Że mogą istnieć inne uczucia w mężczyźnie obcym, pomimo swej czystości, nie przypuszczała nigdy. Znała swą wartość i niewysłowny czar swej urody, rozumiała dobrze palące spojrzenia współplemieńców i białych, była świadoma najzupełniej swej młodej potęgi. Również nie miała potrzeby wątpić w miłość Piotra. Przecież dawał tysiączne jej dowody, czy to ucząc ją z troskliwym oddaniem, czy to chroniąc od wszelkiej cięższej pracy, czy też pieszcząc i tuląc w chwilach odpoczynku. Nieraz przecież brał ją w potężne ramiona i zanosił na posłanie, jak małe dziecko, i układał do snu. Zawsze przecież spełniał każdą jej prośbę, a nawet każdy kaprys i nie odmawiał jej nigdy ani precudnych paciorków, ani barwnych tkanin na sukienki. Ach, prawda! Raz jeden odsunął ją z gniewem, kiedy zapytała, czy zawsze mieszkał nad cieśniną i skąd pochodzą jego rodzice. Było to

pewnego cudnego wieczoru, kiedy łagodnie zachodzące słońce uczyniło z powietrza różowo złotą gamę barw, a saxifragesy zdawały się być szkarłatnym kobiercem, idącym w nieskończoność. Alkase pamięta dobrze, jak gniewnie spojrział wtedy i groźnie przykrzyknął, żeby odeszła precz. Myślała nawet, że ją uderzy i mimowoli zamknęła ze strachu śliczne oczy. Długo potem odczuwała szczere zmartwienie i popłakiwała samotnie po kątach, ale więcej pytać nie śmiała. Po kilku dniach zapanowała między nimi dawna harmonia, jednak w jej wiernem, oddanem serduszkach pozostały wątpliwości w szczerłość Piotra i już przeczuwała, że powodem jego długich zamyśleń musi być kraj rodziny, a może biała raja, którą tam niewiedomo dlaczego zostawił.

Po dłuższym czasie, kiedy minęły już wiosna i lato, a długa podbiegunowa zima stała tuż za wrotami, zaczął ją brać ze sobą na krótsze wyprawy łowieckie. Mogła teraz dowoli podziwiać jego niesłychaną siłę, odwagę i pewność strzału. Co dzień przywozili lub przyciągali obfite łupy, a pracy nad sprawnianiem futer i mięsa było tyle, że ledwo zostawało czasu na gospodarstwo i naukę. Zmizerniała więc w ostatnich czasach, ale i zmężniała, stała się silniejszą, zdrowszą.

Tężyzna ruchu na świeżem, mroźnem powietrzu, obfitość i różnorodność pożywienia, proste przeżycia i wzruszenia sprzyjały zdrowiu fizycznemu i duchowemu. Po nocach jednak, spędzanych samotnie w świetlicy, dla niej urządzonej, przechodziła prawdziwe katusze rozszalałej miłosnej tęsknoty krwi. Nie rozumiała dokładnie swego stanu i zaczynała odczuwać przed nim zabobonny lęk. Pomimo znużenie, pomimo wszelkie wysiłki woli przychodziło to na nią, jak wicher i porywało w jakieś potworne, żarem dyszące otchłanie. Wołało młode, zdrowe ciało o święty pokarm miłości, huczała żarem świeża krew. Obrazy dziwne, Bóg wie skąd dane wyobraźni, pojawiały się nagle w ciemności i zmuszały do oblewania się gorącymi rumieńcami wstydu. Była zupełnie bezradna wobec istnej nawałnicy uczuć, pragnień, wizyj i pożądań, skłębionych, pogmatwanych, tyrańsko mocnych, niepojętych.

Kotłowała się ta burza w niej, w całym jędrnym ciele, rozsadzała całe jestestwo, przepalała warem piekielnym, wyciskała łzy rozpacz. Po każdej takiej nocy czuła się, jak rozbita. Całe ciało płonęło i było, jak obwisły łachman. Jej wielkie czarne oczy, podkrążone przez męki bezsenności lub gorsze, jeszcze męki wizyj sennych stały

się jeszcze więcej żalosne i pogłębione lękiem i cierpieniem. Budziła poprostu litość i wejrzeniem zabijanego zwierzęcia, i wreszcie nawet Piotr zauważył w niej tę niepojętą zmianę. Ale tłumaczył to sobie nadmierną pracą i wpływem nowych pojęć, które w niej szerzył podczas wykładów religii. — Dusza się w niej budzi i zaczyna nowe życie — myślał z serdeczną uciechą i brał ją wtedy w ramiona i tulił, jak najdroższy skarb serca. A biedna dziewczyna poddawała się z bezwolną rozkoszą tym jałowym objawom miłości i cierpiała w milczeniu. Po raz pierwszy w życiu poznała wstyd dziewiczy i jego bezlitosne tyranstwo. Odkryła w sobie nowe pokłady uczuć, myśli i pożądań i z prawdziwym przerażeniem wpatrywała się w ich niesamowite, groźne, zachłanne piękno. Nieznane potęgi, niedoznawane nigdy przedtem, dreszcze, niewytłumaczalne niczem objawienia przesycali całe jej wątłe jestestwo. Wsłuchiwała się z niepokojem w tajemniczy szmer swej krwi, w głębokie

szepty swego młodego ciała i coraz mniej rozumiała własną, ukrytą potęgę. Jakże wyjść teraz z tego labiryntu uczuć i doznań, skoro nie można sobie z nich zdać sprawy? Jakże tu ratować się z tej otchłani płomiennych żarów, skoro się nie zna ich źródła? Jednocześnie zmieniał się jej stosunek do Piotra. Już nie zarzucała mu ślicznych ramion na szyję, ani nie wcałowywała w usta słów czarodziejskich. Nie pozwalała się też brać na ręce, ani układać do snu. Nie wiedziała dobrze, dlaczego tak postępuje, ale czuła, że coś się zmieniło i że nie jest już dawną, szczęśliwą i ufą Alkase, a Piotr też już nie jest ten sam, ale jakiś inny, jakgdyby obcy. Niszcząca potęga, która przepalała jej dziewicze ciało, szła na nią od Piotra, choć bez jego wo-



li i wiedzy. Trzeba było nadludzkiej mocy, żeby z nią walczyć, i jeśli nie zwyciężyć, to przynajmniej ograniczyć możliwie jej pustoszące działanie. Dostrzegłszy w niej tę ostatnią zmianę: dziewczęcy wstyd i rzewne zamyslenie, Piotr wzruszył się, ale nie przeczuł nieszczęścia. — Obudziła się w niej kobieta — i wszystko! Że to musiało nadejść wcześniej czy później, wiedział przecież, planował nawet wydanie jej za mąż, ale było to wszystko tak odległe, że dotąd przynajmniej na serjo o tem nie myślał. Rozstać się z Alkase?! Boże jedyny! — na to trzeba by chyba skończonego łotra! W swym egoizmie nie dostrzegł tragicznej walki, jaka się odbywała w sercu dziewczęcia. Było mu z nią dobrze, niesłuchanie dobrze, brał od niej uśmiechy, słodką jej obecność, usługi, — nad resztą się nie zastanawiał. Że te uśmiechy stały się od pewnego czasu smutniejsze i cichsze — widział, ale nie nadawał temu żadnego poważniejszego znaczenia. (c. d. n.)

WANDA MIŁASZEWSKA

13

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



am teraz zasłużoną pokutę: leżę już drugi tydzień i mogę pławić się we wspomnieniach od rana do nocy, od nocy do rana. A moje dzieciaki musztruje tymczasem panna Leonka i ten przetowłósy nauczyciel z czwartego oddziału. Codzień, czasem nawet dwa razy dziennie zabiega do mnie Teoś. Przynosi mi rumiane jabłka, które wydobywa z kieszeni zaplamionej kurteczki i pyta niezmiennie:

— Kiedy pani przyjdzie do szkoły?

Za tem pytaniem kryje się nie ma prośba i wyrzut: tak mi bez pani źle...

— Nie mogę wcale zrozumieć, czego tamta nauczycielka żąda odemnie. Gniewa się, a ja przecież robię, co mogę, by wszystko tak umieć, jak inne dzieci...

Tego wszystkiego Teoś nie wypowiada głośno, lecz my się dobrze rozumiemy bez słów. Nie darmo przeżyliśmy wspólnie całe tygodnie ciężkiego mozołu: nauki czytania i pisanja. Teraz biedak

uśmiecha się do mnie, podając jabłka, przysłane przez babcię, i pyta:

— Kiedy pani przyjdzie do szkoły?

Przyjdę mój mały, przyjdę napewno, niech tylko trochę wydobrzeje. I będziemy znowu pokonywali spiętrzoną górę trudności, narosłą podczas tej przerwy w naukach...

Wręczywszy swój dar, chłopiec jeszcze przez chwilę obraca czapkę w czerwonych piastkach, wreszcie odzywa się niespodzianie:

— A Marylka Bańcukowa to się dziś, proszę pani, pobiła z Julką!

Przybieram wyraz surowy,

— Choćby cię smażyono w smole, nie mów...

— A kiedy ja nie dlatego, proszę pani... Tylko one się naprawdę pobiły i za włosy ciągały się, aż pani nauczycielka do kąta kazała iść... Obie stały. I ja też stałem, — dorzuca nagle z determinacją.

— I ty także? A za co?

— A bo ja, proszę pani, Marylce język pokazałem...

— Ooo, to bardzo nieładnie. I czemuż to pokazałeś język Marylce?

— A bo, proszę pani... Bo ona jeszcze gorsza, jak Julka. Julka ma złe oczy, ale ona przecież nie winowata, że taka jest. A Marylka to każdemu dokuczy. I teraz Julce dokuczyła, aż się pobiły. Powiedziała, że ją ze wsi wyświecą, bo ona łaciatej krowie Wojciulika mleko odebrała, ana, nikt inny... A to właśnie może wcale nieprawda jest! Julka ani tej krowy nie widziała... A Marylka zaraz na nią i jeszcze zaczęła inne dzieci podmawiać, żeby Julkę nabili...

Przymykam oczy i słucham tej paplaniny dziecięcej. Nawet nie próbuję zaprzeczać. Wiem, że to daremny trud! Wieki przesądów, guseł, zabobonów, wypłenić mogą tylko wieki kultury, kropla za kroplą sączonej na twardą opokę głów...

Julka. Stała mi jasno w pamięci jej zgrabna postać, widzę jej warokoczyki, o barwie dojrzałej pszenicy, subtelne rysy i te śliczne, prześliczne oczy. Julka cierpi prześladowanie jedynie za to, że jest

skończenie piękna. Tak, właśnie za to. Jej nieposzechna uroda, a zwłaszcza te oczy cudowne, zielone, mieniające się oczy koloru wody morskiej, są powodem ogólnej opinii, która Julkę uznawała za czarownicę.

Wmieszana w gromadkę dzieci o czerstwych, rumianych i pospolitych twarzach, jest zjawiskiem niezwykłym i, jako takie, budzi nieufność wśród tutejszego ludu. Jej oczy rzadkiej piękności wywołują niepokój: są to oczy uroczone. Baby wiejskie oskarżają to dziecko o siłę nadprzyrodzoną. Wierzą święcie, że zdolna jest „odebrać mleko” krowie, „urzec” drób, że zdycha masowo, ba, nawet sprowadzić grad czy suszę...

Sama na własne oczy widziałam kiedyś Julkę, stojącą w wietrzny, ponury dzień przed chatą. Była w jednej sukience i trzęsła się z zimna.

— Czemu tu stoisz? Czemu nie wejdiesz do domu?

— A bo tam „niczelnicę” wstawiają w krosna.

— Wstawiają... to i cóż?

— A to, jakby ja popatrzyła, nici się mogą splątać...

Innym razem zawiązuje się Julce oczy, by nie widziała, jak kurę „sadza na jaja”. Innym razem każe jej nabrać pełno wody do ust i potem tą wodą splunąć trzy razy w twarz dziecka, na które nieopatrzenie „spojrzała”. Ma to być niezawodny środek na odczynienie uroku.

Setki tysięcy podobnych bredni. Nawet jej własna matka, spytana przezemnie, czy naprawdę wierzy w „nieczystą siłę” dziewczynki, odparła, wzruszając ramionami:

— A kto ją wie, jakie te jej oczy. Może prawda, co ludzie gadają. Pewnie i prawda, boby nie gadali...

Oto najprostsze stanowisko: jeśli gadają, musi w tem coś być. Nieczysta siła — i koniec. Dziewczynka sama przywykła uważać się za niebezpieczną. Przechodząc mimo łańców dojrzewających, odwraca głowę,

bo może zuroczyć zbiory. Idąc do studni, zawsze nabiera w wiadro nieco wody, bo gdyby „ją” z pustymi wiadrami kto spotkał — gotowe nieszczęście... Nawet kołyszając własnego braciszka, przymyka powieki, by go przypadkiem nie urzec...

Wszystkie te praktyki wypełnia bez zdziwienia, z doskonałą obojętnością. Być może, sama uważa swoje promienne źrenice za rodzaj uposłedzenia, z którym przybyła na świat i które trzeba osłaniać, aby nie szkodzić bliźnim. Znosi to swoje „kalectwo” cierpliwie, nie usiłując zgłębić przyczyn, ani buntować się przeciw niemu. Widocznie tak musi być — i koniec.

Dzieciom, które jej dokuczają, odpowiada łagodnie, że przecież ona „nie winowata”. Czasem gdy jej zbyt mocno dopieką, wpada w gniew i wówczas z cichej, potulnej dziewczynki przemienia się istotnie w małego szatanka. Oczy jej płoną tysiącem ognia, fosforyzują zielono, małe pięści zaciskają się mocno, a różowe, cudowne usteczka miotają groźby: (c. d. n).

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

7

IV.

DROGA OLBRZYMÓW.

W trójcy uciemżonych narodów, które zwracały pełne nadziei oczy w stronę zwycięskiej Republiki francuskiej, palma cierpienia należała się bezsprzecznie Irlandji. Polska wstępowała dopiero na ciernisty szlak niewoli, Italia budziła się zaledwie do świadomości swych krzywd, nieszczęsna „Kraina szmaragdowych dolin i szemrzących wód,” ziemia, błogosławiona przez Boga, a z woli najeźdźcy w piekło zmieniona, znosiła od wieków ucisk, podobny do systemu, którym Murawjew chciał wynarodowić popowstaniową Litwę. Zwycięska Anglja wydarła podbitym język, prześladowała wiarę, zalała kraj kolonistami, przeciągnęła na swą stronę większość arystokracji, a mimo to nie złamała głuchego oporu zwyciężonych. Jak w zamierzonych, legendarnych czasach walki „Dwóch Olbrzymów,” przepaść nieprzebyta dzieliła obydwu, nieszczęsnym losem sprzęgnięte, a tak

różne rasą, psychiką, obyczajem, plemioną. Ludność irlandzka, łącząc wiarę i patriotyzm w jednej mistycznej, zacieklej, egzaltowanej miłości, znienawidziła namiętnie najeźdźcę i ciemnizniaka: „Saksona.”

Z końcem osiemnastego stulecia liberalne koła Anglii pragnęły zmasać wiekową plamę swych dziejów i wypisały na swym sztandarze usamowolnienie katolików irlandzkich.

Rząd, zagrożony „buntem” Ameryki, poszedł drogą ustępstw. Irlandji przywrócono parlament, (co prawda, dostępny tylko dla protestantów), który kasował stopniowo barbarzyńskie „Ustawy karne,” czyniące z 4/5 ludności, wyjętych z pod prawa helotów.

Zdawało się, że nadeszła era pojednania. Zapoczątkowało ją mianowanie namiestnikiem w Dublinie lorda Fitz Williama, człowieka zacnego, ożywionego najlepszymi chęciami. Ale z góry od króla Jerzego III, ciemnego fanatyka protestantyzmu, i Pitta, wielkiego wro-

ga Rewolucji, szedł prąd reakcji. Bill o emancypacji katolików upadł; lord Fitz William musiał ustąpić. Słuszne wzburzenie kraju rząd usiłował poskromić represjami i ogłoszeniem stanu wyjątkowego.

„Nie wiem, czy ci ludzie są tak źli, czy tak szaleni? — pisał z bólem lord Edward, opisując matce nowe gwałtowne zarządzenia „tyranów Irlandji”. — Niepojęte jest zaślepienie osób, które skądinąd uważam za uczciwe. Sądzę, że, gnębiąc ludność, wywierając zemstę na pojedynczych osobnikach, usuną przyczyny zła! Bóg jeden nas chyba rozsądzi.”

Burza wisiała w powietrzu.

Gorętsze serca śniły już oddawna wielki sen o niepodległości. Zwycięską deklarację niepodległości młodej Ameryki, konstytucję 3-go Maja, powstanie kościuszkowskie z braterskim przyjętym sentymentem. Tryumfalny pochód błękitnej armji „sankiulotów” witano z entuzjazmem. W Dublinie tak samo, jak w Warszawie, ściskali się ludzie na

ulicach na wieść o sukcesach orę-
ża francuskiego.

Wielkie Towarzystwo Zjednoczo-
nych Irlandczyków, United Irish-
men, łączące w bratnim zespole
po raz pierwszy od wielu lat pro-
testantów i katolików, opłotło sie-
cią swoją kraj cały.

Zrądz stojące na gruncie legal-
nej akcji parlamentarnej, obecnie
prześladowane i rozwiązane przez
rząd, chroni się w podziemia i, pra-
cując tem energiczniej w ukryciu,
tworzy kadry przyszłych wojsk
powstańczych.

Dotąd w Komitecie Kierowni-
czym przeważali ludzie słowa:
adwokaci, politycy; teraz chodzi
o żołnierza. Zwrócono oczy na
Fitz Geralda. Był to oficer facho-
wo wykształcony, którego talenty
cenili przełożeni tak, że gdyby nie
jego rewolucyjne przekonania, był-
by, choć tak młody jeszcze, otrzy-
mał w r. 1792 poważną misję: do-
wództwo wyprawy do Kadyksu.

W kołach niepodległościowych
ufano mu i wiedzano, że mimo
tylu węzłów, łączących go z An-
glią, ten gorący patriota potrafi po-
święcić dla sprawy wszystkie
względy osobiste.

Prawnuk Tomasza, hrabiego na
Kildare, nie zawahał się. Wziął na
siebie wojskową organizację To-
warzystwa, przyjął niebezpieczną
misję nawiązania układów z Dy-
rektorjatem w Paryżu. W tym celu
miał się niebawem udać wraz ze
swym przyjacielem O'Connorem
zagranicę. Stosunki rodzinne po-
zwoliły mu z łatwością na upo-
zowanie podróży.

Pani de Genlis bawiła w Ham-
burgu, mieście, które stało się
schroniskiem mnóstwa emigrantów.
Wydawała zamąż swą siostrzenicę,
Henriettę de Sarcey za bogatego
bankiera hamburskiego, Matthies-
sena. Pamela pragnęła być na ślu-
bie przyjaciółki, a że była znów
w ciąży, ułożono, że mąż odwiedzi
ją do Hamburga i pozostawi na
odbycie połogu w domu dawnej
opiekunki.

W kwietniu 1796 r. Fitz Geraldo-
wie wyjechali z Irlandji do Londy-
nu, aby powierzyć opiece babki
synka, dwuletniego Eddy. W czasie
tego pobytu zaproszono ich na
wieczór do margrabiostwa Devon-
shire. Książę Jorku, najmłodszy
brat królewski, prowadził Pamelę
do kolacji. Rozmawiając uprzej-
mie ze swą piękną sąsiadką, wyra-
żał się z sympatją o jej mężu,
z ubolewaniem o ostatnich wyda-
rzeniach politycznych. Wreszcie,
jakby ulegając życzliwemu porywo-
wi, szepnął:

— „Niech pani odradzi mężowi
dalszą podróż. O planach ludzi,
których on za swoich przyjaciół

uważa, wiemy więcej, niż sobie
wyobrażacie.

„Krótko mówiąc — dodał —
wiemy wszystko.“

Pamela, zostawszy sam na sam
z mężem, rzuciła mu się ze łzami
na szyję, prosząc, aby się nie na-
rażał. Edward uspakajał ją, — ale
oświadczył poważnie, że się nie
cofnie już i nie zdradzi zaufania,
które w nim położono. Młoda ko-
bieta przywykła ślepo ufać mężo-
wi i dzielić jego pragnienia, zamilk-
ła i próbowała zdławić smutne
przecucia. Ale czy to wskutek
przebytego lęku i wstrząśnienia
nerwowego, czy też zmęczenia
przeprawą, Pamela, zaledwie przy-
bywszy do Hamburga, zachorowała
i wydała przedwcześnie na świat
córeczkę, wątłe stworzonko, którą
ochrzczono imieniem Felicity, ale
zwano zawsze Pamelą.

Młoda matka, cierpiąca i osła-
biona, nie mogła wziąć udziału
w weselnych uroczystościach.
Edward również nie miał czasu
na zabawę. Z pomocą nowożeńca
zakupywał broń i amunicję, skła-
dając je w magazynach banku
Mathiessena, zanim miała się zda-
rzyć okazja wysłania ich potajem-
nego do Irlandji.

Wraz z O'Connorem porozumie-
wali się z Reinhardem, ministrem
upełnomocnionym Francji na pro-
wincję północne, pertraktowali
z Talleyrandem, bawiącym w tej
chwili w Hamburgu. Pani de
Genlis pośredniczyła. Ex-biskup
z Autun konstatawał ze zdziwie-
niem, że ani wiek, ani przejścia
nie odebrały tej giętkiej kobiecie
chęci i zdolności intrygowania, mi-
mo, iż do rewolucji srodze się roz-
czarowała.

Dyrektorjat, rządzący Francją,
chętnie szafował piękniemi maksy-
mami o braterstwie ludów. W prak-
tykę wprowadzał je wtedy, gdy mu
były na rękę.

W tym samym czasie, gdy Da-
browski, stroskany i chmurny, od-
chodził z niczem od bram pałacu
Luksemburskiego, Barras i jego ko-
ledzy wzywali z Ameryki egzultów
irlandzkich i zachęcali ich do two-
rzenia legionów na ziemi francus-
kiej, sądząc, że przez Irlandję ugo-
dzą najgroźniejszego wroga: Anglję.



Do delegacji Zjednoczonych Irland-
czyków odniesiono się życzliwie.
Naznaczono Fitz Geraldowi i O'Con-
norowi spotkanie z generałem
Hoche w Bazylei dla omówienia
ewentualnej wyprawy.

Z tym żołnierzem wielkiego ser-
ca dogadał się Irlandczyk prędzej,
niż z chytrymi dyplomatami. Hoche
palił się do wojny „za wolność
uciemiężonych“, a przytem wierzył
mocno, że „droga do Londynu
prowadzi przez Dublin.“ Fitz Gerald
przypadł mu do serca. Zauważył
zaraz — i napisał do Paryża — że
ten człowiek „nie żąda nic dla
siebie, a ma wiele do stracenia.“
„Przeciwnie — dodał — „O'Con-
nor ma wszystko do zyskania i ża-
da — pieniędzy, wciąż pieniędzy
i wysokiego stopnia, choć nigdy
nie służył w wojsku.“

A jednak nie Fitz Gerald, ale
O'Connor dostał paszport do Pa-
ryża dla pertraktacji z Barrasem.
Związek ze skazanymi na banicję
Orleanami zamykał drogę do Francji
mężowi Pameli.

Edward powrócił do Hamburga.
„Zastałem moją słodką Pam z dzie-
cinką w dobrym zdrowiu, urado-
waną moim powrotem — pisze do
matki i, aby nie budzić w niej nie-
pokoju, przedstawia swoją wyciecz-
kę do Szwajcarii, jako przejażdżkę
turystyczną. „Oglądaliśmy Szwaj-
carję z całym entuzjazmem Rous-
seau'a. O'Connor jest takim sa-
mym jego wielbicielem, jak ja. Mo-
że sobie mama wyobrazić, jak nam
przyjemnie było... Idę z Pam na
przechadzkę, więc kończę — doda-
je. — Zobaczę was za cztery ty-
godnie. Boże, jaki będę szczęśliwy!
Całuję malca. Brak mi jego kocha-
nej twarzyczki.“

Duża Pam niańczyła maleńką
Pam i gwarzyła z dobrą Henriettą.
Pani de Genlis mniej czasu po-
święcała swej pupilce, niż tego
można się było spodziewać po jej
czułości dla niej.

Jeździła do Berlina w jakiejs
tajnej misji, wysłana przez Talley-
randa, popierała zabiegi Fitz Ge-
ralda i rada byłaby widziała, gdy-
by mąż Pameli wybitną odegrał
rolę w mających nastąpić wyda-
rzeniach. Uświadamiała sobie jed-
nak, że to gra niebezpieczna i noto-
wała w swoich zapiskach: „Rozstaje
się z Pamelą z boleścią, zważyw-
szy zwłaszcza, w jak ryzykowną
imprezę wdaje się jej mąż.“

W tym samym czasie notuje Bar-
ras pod 3 dniem przestępnym IV
roku Republiki:

Dyrektorjat uchwala w zasadzie
wyprawę do Irlandji. (c. d. n.)

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

CIEKAWA KSIĄŻKA.

Pismo duńskie, „Dagens Nyheder“, zamieszcza obszerny artykuł o niezwykle ciekawej książce, która się ukazała niedawno we Francji. Jestto dzieło słynnego uczonego z XVI w., Corneliusa Agrippy de Nettesheyma, p. t. „O szlachetności i doskonałości płci niewieściej“, przełożone obecnie z łaciny przez profesora uniwersytetu ljońskiego, Bertranda. W dziele tem, dotychczas jeszcze nigdy nie tłumaczonym w całości na żaden z nowoczesnych języków europejskich, Agrippa de Nettesheym okazuje się zapalonym feministą, broniącym z wielką swadą i ogromną erudycją „doskonałości płci niewieściej“, którą uważa za wyższą pod każdym względem od rodzaju męskiego.

Argumenty Nettesheyma są tak ciekawe, tak oryginalne, a przytem utrzymane w duchu epoki, że doprawdy warto się z nimi zapoznać, chociażby tylko pobieżnie. Słynny uczony zaczyna swój traktat od wykazania wyższości kobiety nad mężczyzną, która, według niego, przejawia się już w samym etymologicznym znaczeniu imion naszych biblijnych prarodzców. „Adam bowiem — wyjaśnia Agrippa — znaczy: ziemia, Ewa zaś — znaczy: życie. I rzeczywiście widzimy, że wznosi się ona ponad swego małżonka tak, jak Duch Żywota dominuje nad Materją. Bóg sam, tworząc niewiastę później, niż mężczyznę, wykazał tem, iż uczynił ją doskonalszą. Napierw bowiem tworzył istoty najniższe, później coraz doskonalsze, aż wreszcie zakończył swe dzieło — stworzeniem Ewy. A przecież twórca wie, co czyni, i nie może się mylić w swych zamiarach!“

„Mężczyzna, zarówno jak i inne stworzenia, został ulepiony z gliny. Niewiasty jednak Bóg nie chciał stworzyć z tak nieczystego elementu. Wziął dla niej część już stworzonego organizmu ludzkiego i tchnął w nią ducha. Niewiasta przeto nie jest tworem materji... Jest ona najwyższym tworem Bożym — i stąd pochodzi jej piękność. Czemże bowiem jest piękność, jeśli nie odbiciem Boga na ziemi?“

Po tym mistyczno-filozoficznym wstępie następują argumenty natury przyrodniczej. Większość ich oparta jest na ówczesnych przesądach, w które Agrippa, pomimo swej bardzo rozległej wiedzy lekarskiej, wierzył, i które z całą po-

wagą przytacza. Tak np. wedle jego mniemania „krew kobiety zawiera własności lecznicze niemal cudotwórcze; leczy ona choroby umysłowe, trąd i melancholję; za pomocą krwi kobiecej można ugasić pożar, zapobiec katastrofie okrętowej, „odczynić urok“, rzucony przez najpotężniejszego nawet czarownika, a także — odpędzić szatana“.

Dalej, rozmyślając nad tajemnicą wcielenia Chrystusa Pana, Agrippa dochodzi do wniosku, że Bóg przez narodzenie się z Niepokalanej Dziewicy chciał również wykazać wyższość rodzaju niewieściego nad męskim, i wypowiada następujące uwagi filozoficzne:

„Kto był pierwszym grzesznikiem? — Adam. Kto pierwszym mordercą? — Kain. Pierwszym pijakiem był Noe, a syn jego, Cham — pierwszy przełamał święte prawo poszanowania rodziców. Był on również pierwszym tyranem i bałwochwalcą. Gdziekolwiek bądź działy się zbrodnie, występki, okrucieństwa — wszędzie sprawcą ich był mężczyzna. Bracia Józefa zaprowadzi go w niewolę. Faraon egipski kazał mordować niemowlęta, a liłość kobiety ocaliła Mojżesza. W Sodomie i Gomorze mężczyźni oddawali się najwstrętniejszym występkom.“

„Zajrzyjmy teraz do Ewangelji: Kto zaprzedał Chrystusa Pana nieprzyjaciółom Jego? Kto Go obwiniał, umęczył, osądził na śmierć i ukrzyżował? Mężczyźni! Opuszczony Chrystus umiera na krzyżu wśród garstki niewiast, które Mu do końca pozostały wierne. Niewiasty składają ciało Jego do grobu. Żona Piłata czyniła wszystko, co było w jej mocy, by uchronić Jezusa od śmierci... Po zmartwychwstaniu Swem nawet ukazuje się Pan pierwszej przed wszystkimi niewieście“.

Agrippa wymienia następnie w dziele swem imiona kobiet wszystkich krajów i epok, stawiając je, jako przykład szlachetności, bohaterstwa, poświęcenia i t. d. „Gdybym chciał je wszystkie wyliczyć — mówi — zabrakłoby mi czasu i musiałbym rozstać się ze światem, nie wyczerpawszy tego tematu“. Zdaje sobie jednak nasz uczony sprawę, że nie wszystkie postacie historyczne kobiece były typami idealnymi. I tutaj jednakże winę ponosi — jak zawsze u niego — mężczyzna.

„Znane mi są“, powiada „dzieje Samsona, Jazona, Agamemnona i Sokratesa. Wiem, że byli oni nieszczęśliwi w małżeństwie. Czegoż to jednak dowodzi? Dobry mąż nie bywa nigdy nieszczęśliwym w małżeństwie,

a jeśli żona cię zdradza lub dokuca ci, najlepszy to dowód, że z nią źle postępujesz. O, gdybyż dzieje ludzkości pisane były i tworzone przez niewiasty! Ileżby okrucieństw, ile zbrodni i nikczemności uniknęłyby szczęśliwa ludzkość! Czemże my jesteśmy, my, co się mienimy „panami świata?“ Mordercami, zdrajcami i katami niewinnych! A podczas, gdyśmy oszukiwali jedni drugich i zabijali się wzajemnie, kobiety wymyśliły rzemiosła, sztuki piękne i nauczyły nas cnoty i miłości.“

Cornelius Agrippa kończy swe wywody płomiennem wezwaniem do mężczyzn, aby przywrócili kobiecie dane jej od Boga, a uznawane nawet przez pogańskich starożytnych mędrców, prawa. I tu uczony z XVI w. okazuje się niezwykle postępowym w swych poglądach na prawa kobiet. „Odebrałście — mówi — wolność niewieście i poddaliście ją tyrańskiemu uciskowi, zapominając o prawach Boskich i naturalnych. Uczyniliście z istoty wolnej, stworzonej tak, jak i wy, „na obraz i podobieństwo Boże“, niewolnicę, której jedynem zajęciem — igła i wrzeciono. Prawo zakazuje jej zajmować stanowisko w życiu publicznym. Nie wolno jej być ani sędzią, ani świadkiem, ani nawet opiekunką własnych dzieci! Takim oto jest zaślepienie i tyranja mężczyzn, że usuneli oni z pod prawa najlepszą i najszlachetniejszą część ludzkości.“

Wątpliwem jest, czy szlachetny obrońca uciśnionej płci niewieściej znalazł w swojej epoce wielu zwolenników. O obojętności, z jaką spotkały się jego poglądy, świadczy przedewszystkiem to, że dzieło jego, napisane przed 400-u laty, spoczywało dotychczas w pyłe zapomnienia. A jednak są w tej książce zdania, godne uwagi nawet dziś, w naszym postępowym wieku XX; są także ustępy, pełne głębokiego liryzmu, jak sama dedykacja np., w której autor poświęca swe dzieło pamięci ukochanej swej, a młodo zmarłej, żony. Oto jego słowa rzewne i proste: „Przez osiem lat żyliśmy ze sobą, złączeni węzłami najszczerzej przyjaźni i miłości. Rozumieliśmy się wzajemnie i nigdy harmonja dusz naszych nie została zmacona w żadnej chwili naszego życia. Dzieliłaś ze mną wytrwale i cierpliwie wszystkie troski, niedostatek, wygnanie, uciążliwe podróże i niebezpieczeństwa. A dziś — gdy lepsza i jaśniejsza przyszłość stoi przedemną otworem, odeszłaś, pozostawiając mnie samego...“

Gdy myślę o twej dobroci, szlachetności, o wszystkich tych skarbach, które Bóg włożył w twą duszę, czuję, że nie powinienem milczeć

dłużej. Nie mogę być niemyślnym świadkiem krzyżującej niesprawiedliwości, jaka się dzieje siostrom twym, niewiastom, podobnym tobie i, jak ty, pięknym i szlachetnym“...

Książka Agryppy Nettesheyma jest więc właściwie apologią niewiasty, dokonaną pod wpływem miłości do zmarłej żony. Z. B.

Z naszych zdrojowisk

W POLSKICH PISZCZANACH

(Wrażenia z wycieczki dziennikarskiej do Buska)

Urządzona w okresie Zielonych Świątek przez Syndykat Dziennikarzy polskich w Warszawie wycieczka krajoznawcza przedstawicieli prasy z całej Polski, w których gronie znajdowało się też kilka dziennikarek — zwiedziła osobiście przecudnej ziemi kieleckiej. Długoby trzeba opowiadać, by dać wyraz dodatnim wrażeniom, jakie uczestnicy wycieczki odnieśli w wędrówce po starych miastach piastowskich, po szczytach polskich siołach, po siedliskach odwiecznej kultury naszej. Dlatego ograniczyć się tylko do jednego momentu, który nader mile zapisał się w naszej pamięci — do opisu Buska, co w okresie powszechnych wyjazdów do zdrojowisk będzie może aktualne i pożyteczne.

* * *

Krętą drożyną wśród łąnów zbożowych i gajów, wonnych białym kwieciami akacji — zbliżamy się ku zielonej kępie drzew i grupie otulonych w nie domków, wieżyczek, kominów. Już zdaleka wabi to ciche gniazdo jakimś spokojnym oddechem i dobrotną równowagą, jaka odczuwać się daje tylko w ustroniu, wyłączenie powracaniu ludziom zdrowia poświęconych.

Ciche, miluchne Busko posiada te kojące właściwości w wysokim stopniu. Spokoju chorych i umęczonych pracą nie zakłóca nawet gwizd lokomotywy, bo najbliższa stacja kolei, Szczucin, oddalona jest o 35 kilometrów, a jedyna, połączona z Buskiem normalnym ruchem samochodowym — Kielce, o 50 klm. (stacje kolejki wąskotorowej znajdują się też nie bliżej, niż o kilkanaście klm.). To jedno tylko — odciecie od świata — mogłoby trochę zniechęcić ludzi do leczenia się w Busku, chociaż podróż automobilem jest znacznie sympatyczniejsza od jazdy w zadymanym, dusznym wagonie, a porozumienie ze światem odbywa się podobno codziennie zadowalniając, posiada bowiem miasteczko własną pocztę, telegraf i telefon. Poza to jest Busko wymarzone miejsce wytchnienia i idealnym uzdrowiskiem, wyposażone po królewsku nie tylko w dobrą naturę, które to bogactwo jest zresztą w Polsce dość powszednim zjawiskiem, i wskutek tego bywa często lekceważone — ale i w dorobek cywilizacji, co znów w naszych stacjach klimatycznych i kąpielowych zazwyczaj jest jeszcze raczej marzeniem i zamiarem, niż rzeczywistością.

Buskie źródła wód mineralnych, zawierających w znacznych procentach siarkowodor, bezwodnik kwasu węglowego i sól kuchenna, znane były jeszcze za czasów polskich z wysokich wartości leczniczych. Jako zdrojowisko, występuje Busko dopiero w r. 1805, zrazu w bardzo małych rozmiarach, większy rozkwit zaś osiągnęło w latach 1829—1894, zwłaszcza dzięki dzierżawcy swemu Feliksowi Rzewuskiemu, który wznosił wspaniały, do dziś dnia istniejący gmach kąpielowy w kształcie stylowego pałacu renesansowego. Później przeszło Busko w nieżyczliwe ręce władz rosyjskich, następnie okupantów austriackich — aż

pod rządami polskimi nabrało nowego rozpadu rozwojowego.

Mało jest doprawdy zdrojowisk w Polsce z tak przepysznymi urządzeniami leczniczymi, jakimi chlubi się Busko. Łazienki mineralne, ukryte dowiecznie za filarami wytwornej sali balowej, odpowiadają najwyższemu wymaganiu, w osobnym zaś pawilonie umieszczone są łazienki błotne z wannami kamionkowymi. Oddział przyrodo-leczniczy posiada wszelkie urządzenia hydropatyczne, kabiny z emalowanymi wannami dla kąpiei sztucznych, gabinety dla elektroterapii i heljoterapii, salę gimnastyczną z aparatami Zandera i Frenkla i t. d.

Lecz się tu skutecznie reumatycy, artretycy i tabetycy, histeryczki, neurastenicy, dzieci skrofuliczne, ludzie, cierpiący na choroby kości, skóry, nerwów i rozmaite inne — chociaż można także i w braku wszystkich tych miłych dolegliwości zawitać któregośkolwiek pogodnego ranka do Buska i spędzić w nim kilka niezamąconych tygodni w zupełnym zadowoleniu.

Zwłaszcza, jeśli się dostanie jeden z tych prześlicznych, zapraszających do wypoczynku pokoików w zakładzie zdrojowym, jakimi uraczono uczestników wycieczki dziennikarskiej, którzy wpadli, jak burza, w tę cichą przystań chorych i zakłócili jej spokój. Trudno powiedzieć inaczej — skoro jak Busko Buskiem, nigdy jeszcze dziennikarze polscy nie urządzili nań żadnego tłumnego najazdu i nie wywołali takiego przewrotu, że nawet jedna z ulic miasta — Pińczowska, przezwana została ku uczczeniu tego zdarzenia (bodaż czy nie jedyna na świecie) „ulicą Dziennikarską“.

Fakt ten poprostu nas zawstydził. Bo czyż jest to normalne i sprawiedliwe, by miasteczko, mające przyrodzone prawo zostać jednym z pierwszorzędných zdrojowisk europejskich, było w Polsce do tego stopnia zapomniane, że epokowym zdarzeniem w jego historii staje się wizyta skromnej gromadki podróżujących dziennikarzy? (Dodać należy, że grono rozdzieliło się w Kielcach na kilka grup i w wycieczce do Buska brało udział tylko kilka osób). Zrozumieliśmy ten gest, jako rozpaczliwe wołanie maleńkiego Buska, które robi, co może, by stać się naprawdę wielkim Buskiem i wyciąga ku Polsce ramiona z prośbą o kolej, o pomoc budowlaną, o warunki szybszego rozwoju. Mało wiedzą ludzie o Busku, ale choćby nawet wiedzieli i przyjechali tłumnie (w r. zeszłym leczyło się w Busku 4431 osób) — nie mieliby gdzie się pomieścić...

Ale gdybyś nawet, czytelniku czy czytelniczko nie została tak uroczysto powitana, jak ci szczęśliwi, a niezastępeni dziennikarze — nie będziesz napewno żałowała, jeżeli odwiedzisz Busko, chociaż przekwitną akacje i przestaną w parku śpiewać słowiki. Znajdziesz tu nie tylko zdrowie i spokój, ale i napatrzysz się wielu dziwom.

Naprzykład przekonasz się, że dzieci gruźlicze, zółtawate, rachityczne, nędzne wywleczone z najwilgotniejszych piwnic — mogą być rumiane, wesołe, zdrowe i ładne, jeżeli przyjadą na kilka tygodni do Buska i dostaną się... w ręce doktora Judyma z „Ludzi bezdomnych“, który nie jest wcale fantazją poetycką, ale żywym człowiekiem, wcielonym w postać dr. Szymona Starkiewicza. Mogło wydawać się szaleństwem, gdy przed siedmiu laty idealista ten zaczął z niczego swoją robotę. Z ubieganych mozołnie składek zakupił parcelę na wzgórzu pod budowę sanatorium, a chcąc je wzniesić małymi kosztami, założył przy pomocy dwóch dzielnych robotników własną cegielnię. Wypałoło w niej przez pomyłkę, a raczej nieświadomość taki zapas cegły, że wystarczyło nie tylko na budowę ogromnego gmachu, który jest już pod dachem, ale i na sprzedaż, i w ten sposób zyskano pieniądze na dalsze wydatki. Po-

magaly też zanie w tem dziele gminy, sejmiki powiatowe, kasy chorych i rząd.

Dziś leczy zakład corocznie około 500 dzieci, prowadzi gospodarstwo rolne i mleczne, posiada szereg budynków i 22 morgi gruntu, oświetla swe posiadłości własnym prądem elektrycznym, zakłada filję leśną pod Kielcami i morską nad Bałtykiem, zamierza zalesić okolicę. Sanatorium jest własnością stowarzyszenia pod nazwą Kolonii leczniczej dziecięcej im. dr. Józefa Brudzińskiego w Busku, znakomitego pediatry polskiego, założyciela najlepszych szpitali dziecięcych w Łodzi, Warszawie i Lublinie, którego pamięci dr. Starkiewicz, ongi uczeń wielkiego lekarza, poświęcił swe wspaniałe dzieło.

Wyniki leczenia skrofulów i gruźlicy u dzieci zapomocą wód mineralnych w Busku, słońca i racjonalnego odżywiania są nadzwyczajne, a zasługa założyciela i wszystkich mu pomocnych jest tem większa, że w lecznicy tej przebywają dzieci z najbiedniejszych sfer społeczeństwa: 40 do 50 proc. ze sfer robotniczych, 10 do 20 proc. rzemieślniczych, 15 proc. z przytułków, 10 proc. dzieci urzędników i inteligencji pracującej i t. d. Skazane na żywot chorowity i nędzny, często na powolną śmierć w swych ciemnych izdebkach — wyrwały nagle na szeroką, wolną przestrzeń, pełną nieba, światła i zieleni i dowiedziały się, że mogą żyć i cieszyć się, bo są jeszcze na świecie dobrzy ludzie... A przede wszystkim — ludzie dzielni, dla których największe niemożliwości nie są trudne, ponieważ chcą mocno i prawdziwie.

Michalina Grekowicz-Hausnerowa.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

„Maskarada na Poddaszu“ — Sztuka w 3-ach aktach Iwo Wojnowicza. Przekład M. Zn. Szczepańskiej. Reżyserja L. Solskiego. Dekoracje W. Drabika i A. Kozłowskiego.

Teatr Narodowy wystawił sztukę poety serbo-horwackiego, sędziwego I. Wojnowicza, potomka starożytniej i zasłużonej rodziny „kneziów“ dubrownickich.

Wychowany w kulturze francuskiej, a przejęty do głębi tradycjami narodowymi, dał szereg dramatów, cieszących się ponocdużem powodzeniem w jego ojczyźnie. Wojnowicz Wojnowicza, — bo wątpię — czy cieszyć się będą równą sławą u nas. Nie uratuje dramatu dubrownickiego staranny przekład M. Zn. Szczepańskiej, ani piękne dekoracje teatru Narodowego. Sztuka jest słaba, sentymentalna, cikliwa i poprostu... nudna.

Mamy tu dramat miłosny dwojga młodych istot — Anusi i Hieronima — rzucony na tło tragedji głębszej, — tragedji powolnego konania wszystkich, co dawało. Przedstawicielkami tej zamierającej powolnie przeszłości są dwie stare kobiety: Anna i Helena, które stłumiwszy tragedję swych zboliałych, samotnych serc, wskrzeszają dawny przepych szalonego karnawału dubrownickiego. Gną się na scenie w wzdzięcznych uklonach gawota malowniczo markizy w pudrowanych perukach — a tam na poddaszu mała Anusia, wychowanka Anny i Heleny, umiera.

Role Anny i Heleny grały dwie świetne aktorki: p. Hałacińska i p. Zahorska — ale wbrew intencji autora, zamiast dwóch starzejących kobiet — ujrzelśmy na scenie dwie niezwykle urody damy w południu lat niewieści. Romanówna, jako konająca Anusia, była wdzięczna — ale cóż począć? Drogę do serc słuchaczy zamknął artystce autor — poeta.

Hieronim (Różycki) nie wierzył w swe zaklęcia miłosne i w ogrom własnych cierpień. Jarszewska i Pawłowska dały doskonałe postacie epizodyczne.

DWIE PÓLECZKI

Aby ozdobić własne mieszkanie i zrobić go miłym i eleganckim, niekoniecznie potrzeba bogatych, stylowych mebli, pięknych dywanów, wartościowych obrazów.

Umiejętność stworzenia miłego otoczenia nie zawsze jest cechą posiadaczy wielkich salonów i nieraz widzimy skromny pokój, umeblowany własnym przemysłem, na widok którego mimowoli cisną się na usta słowa: „jak tu ładnie.“

Pragnąc przyjść z pomocą takim właśnie osobom, umiającym i chcącym z niczego coś stworzyć i dbającym o swój codzienny kącik, podajemy dwa modele półeczek, które na wsi lub w małym miasteczku przy pomocy zwykłego stolarza lub nawet wiejskiego stelmacha łatwo zrobić można, a ozdobią zarówno elegancki buduar, jak skromny wiejski pokój.

Rys. 1 przedstawia półeczkę do książek, zawieszoną na ścianie, na żelaznych zawiaskach.

Ma ona 1 metr wysokości na 60 ctm. szerokości i 25 — 30 ctm. głębokości; głębokość zresztą jest zależną od użytku, do jakiego chcemy ją przeznaczyć. Jeśli pokój jest niezbyt duży lub mamy niewiele książek do umieszczenia na półce, to wystarczy jej dać 15 cm. głębokości—wtedy jeden rząd książek ustawić będzie można.

Jeśli natomiast chodzi nam o umieszczenie jak-największej ilości książek w dwa rzędy, to musimy jej dać 30 ctm. głębokości.

Półeczki można zrobić ze zwyczajnego, sosnowego drzewa, wybierając naturalnie ładne, nie



Rys. 1.

sękate deski, boki zaś najlepiej z jaworu. Boki te są malowane lub wypalane w dowolny de-



Rys. 2

seń, a góra półki ozdobiona wystającym na dwa ctm. gzymsem. Naturalnie, że po malowaniu półeczka musi być ładnie upoliturowaną.

Rys. 2 — to półka wielkości 80×80 ctm., która może nawet służyć za rodzaj małego kredensiku, powinna być zawieszona na metr od sufitu, o ile mieszkanie jest niezbyt wysokie.

Na dolnej półce można poustawić jakieś ładne drobiazgi, służące do ozdoby, a w górne szafeczki chować podręczne naczynia czy produkty.

Zrobić ją można z drzewa sosnowego, a deseń na drzwiczkach głęboko wypalić lub malować przed politurą.

Bardzo ładny rezultat można osiągnąć, przydymiając drzewo, co nadaje mu kolor brunatno-szary. Sposób zrobienia tego jest następujący.

W jakiejś oddzielnej ubikacji, szczelnie zamkniętej, postawić trzeba półeczkę, rozstawiwszy trzy talerze z nalany na nie amoniakiem, który, ulatniając się, wydziela gazy, wpływające na zabarwienie drzewa. Półkę trzeba trzymać w tej atmosferze przez całą noc, a rano przekonać się, czy jest już dostatecznie zabarwiona, czy też należy ją jeszcze dłużej potrzymać.

Radziłabym tylko skuteczenie tej czynności w jakimś pokoju czy ubikacji, oddalonej od pokoi mieszkalnych, gdyż odór, jaki wydziela amoniak, chociaż nieszkodliwy dla zdrowia, jest bardzo gryzący i wywołuje nie-miłe łzawienie oczu.

LIST Z PARYŻA

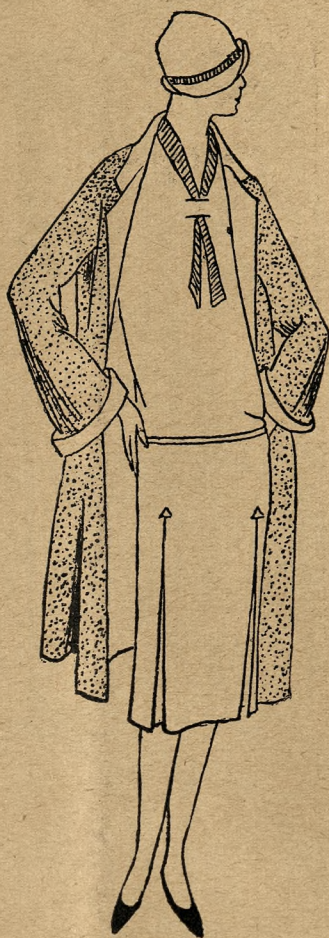
Nareszcie lato!

Po długiej bez końca zimie nareszcie trochę słońca i dużo zieleni. Jeszcze upały coprawda nie dały się we znaki, a już gorączka wyjazdu poza Paryż ogarnia wszystkich. To też niebyszały ruch na kolejach, wywożących paryżan na krótki lub dłuższy odpoczynek.

Eleganckich i słynnych z szyku miejscowości we Francji nie brak, a więc Deauville ogłasza pompacyjnie światu otwarcie swego kasyna z wszelkimi atrakcjami, Aix-les-Bains zapowiada szumnie inaugurację nowego, wykwiśniętego Palace'u i otwarcie dwóch sławnych kasyn i „Ville des Fleurs i t. d.

Liczne są również wyjazdy do „Isle Adam“, eleganckiej plaży na Sekwanie. Wreszcie wielu paryżan, nie mogących na razie wyjechać, spędza wieczory w restauracjach lasku Bulońskiego, sławnych z malowniczego położenia i znakomitej kuchni, które, otwarte na wczesną wiosnę, kończą swój sezon dopiero w październiku.

Z powyższych notatek łatwo się domyśleć, ile okazji ma dbająca o siebie paryżanka, aby pokazać całe bogactwo i fantazję swych letnich toalet.



Rys. 1.

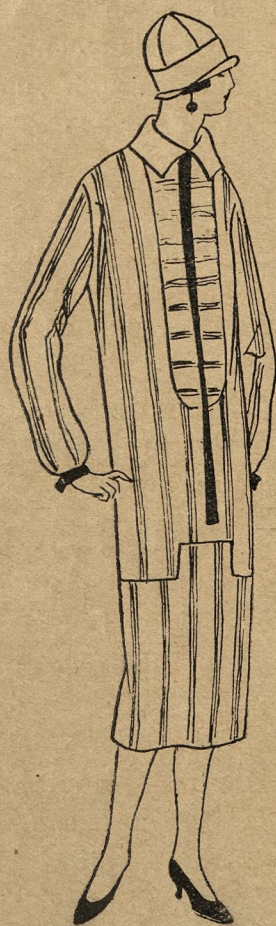
ki, jest rzeczywiście szczytem wdzięku. Przybrana białymi lamówkami zdaje się być stworzona dla młodej dziewczyny lub bardzo młodej kobiety. (r. 3).

Na wieczór widzę coś z woalu „bleu pervenche“, gdyż niebieski kolor króluje na całej linii. Sukienka, przybrana srebrem, mocno marszczona poniżej kolan, dzięki czemu przejrzysty woal unosi się lekko w czasie chodu. Daje to bardzo wdzięczny i szczęśliwie pomysły rezultat.

Wreszcie paryżanka nasza myśli o kapeluszach. Wkłada przedewszystkiem maleńki filc „bleu pervenche“, miękki, jak rękawiczka i nie posiadający żadnej wagi. Do białych sukien spoczywa na dnie „capeline“ podniesiona z tyłu z błyszczącego lekkiego białego „bastu“. Podróżny, sportowy, czarny, popołudniowy—mogłabym tak bez końca opowiadać, gdyż kobieta kokieteryja nie posiada granic... Ale płowa waliza już pełna po brzegi, a żadna szanująca się paryżanka nie zabierze więcej, jak jedną jedyną walizę.

Tak jest, bagaże liczne i skomplikowane należą do przeszłości. Trzeba dokonywać cudów, aby połączyć potrzeby komfortu z wymaganiami mody i być zawsze i stale „a la page“.

Sekwa



Rys. 2.

W swoim „necessaire“ z płowego „box calfu“, błyszczącym przyborami z kryształu i srebra, gromadzi ona moc lekkich, powiewnych sukienek, trykotaży, sandałków lekkich, jak piórko.

Otóż model biały „trois-pièce“ z modnej i praktycznej „casha“. Sukienka prosta z dwiema krytemi kontrafałdami, do niej klasyczna „redingote“ bezwzględnie bardzo szykowne, (r. 1.).

Parę sukienek „chemisier“ z płótna jedwabnego w pasy. Długie rękawy, stojący kołnierzyk i parę fałd w spódnicy wystarczają, aby nadać im wyraz sportowy na którym opiera się cała teraźniejsza moda, (r. 2.).

Inna kombinacja, sukienka z niebieskiego szantungu w białe grosz-



Rys. 3.



NAGOŚĆ I KULTURA CIAŁA W EPOCE EMPIRE'U

W XVI, XVII i XVIII wieku do czystości ciała i higieny przywiązywano bardzo małą wagę. W Hiszpanji kąpiel była zabroniona, jako wymysł pogański. Znana ze swych lekkich obyczajów Małgorzata, Królowa Nawarry, myła się raz na tydzień i to tylko ręce. Król—słońce nie kąpał się nigdy. Łazienka w Wersalu, jako zbyt zbyteczna, została przerebiona na inne cele, a jedyną wannę, nigdy nie używaną, zamieniono na wodotrysk ogrodowy. Wobec takich zwyczajów, zrozumiałym stało się zarzut, jaki czyniono Napoleonowi, że się zbyt często kąpie i dziwienie, z jakim w roku 1800 Mercier konstatuje fakt, że mydło stało się w Paryżu naprawdę artykułem codziennej potrzeby.

Zdanie współczesnych Anglików jest pod tym względem wręcz przeciwne. Stwierdzają oni jednogłośnie, że Francuzki są ładne i miłe dla oka, ale radzą z nosem trzymać się od nich zdaleka. Do jakiego stopnia dochodziło niechlujstwo w Hiszpanji, świadczy fakt, że do przywilejów szczęśliwego kochanka należał obowiązek... wyszukiwania natrętnych pasożytów w koafiu-rze ukochanej. Klinger opowiada, że kiedy pokazał oficerom petersburskim wiadomy insekt pod mikroskopem, dostarczyli mu jego słuchacze w jednej chwili tyle okazów, że biedak znalazł się w nader kłopotliwym położeniu.

Malarz Ludwik Emil Grimm podczas podróży do Włoch wyśmiewa się w swoim dzienniku z innego malarza Prestla, który zawsze po przybyciu do jakiegoś miasta mył się starannie, zużywając przytem dużo wody i ręczników i zawsze miał przy sobie mydło i szczotki, choć już nie był młodzieńcem.

Śmiesznie wydają się nam artykuły Hufelanda, który w r. 1730 wytoczył formalną kampanję niechlujstwu. Całemi latami wpajał współczesnym elementarne zasady higieny, mycia i kąpania

dzieci, częstego zmieniania bielizny i t. p.

Monachjum przy 40.000 mieszkańców i 17 klasztorach, posiadało tylko 5 zakładów kąpielowych ze 130 wannami; we Frankfurcie urządzono pierwszą kąpiel rzeczną w Menie w 1800 r., w Berlinie dopiero w 1813 r. Pytanie, na co



Pani Recamier

była potrzebna umywalka ludziom, którzy wcale się nie myli? Zjawia się też ona narazie, jako drobny sprzączek, najczęściej w formie trójnogu, przyczem miednica i dzbanek do wody mają bardzo skromne rozmiary.

Przewrotu w kulturze i czystości ciała dokonywa przede wszystkim we Francji wprowadzenie mody obnażania się. Natychmiast po upadku terroru piękna pani Tallien objęła osierocony tron mody. Płochy paryżanki skórzystały z pierwszej sposobności, aby rzucić się znowu w wir zabaw i pod pozorem

„antykizowania” i „anglezowania” przemycić modę nagości. Nie tylko gorset, ale i koszula dostają dymisję. Elegantka nosi jedwabne trykoty, jako jedyny strój, przejrystą i do kolan rozciętą „chemise”, za to paluszki bosych stóp ozdabia kosztownymi pierścionkami. Wśród pań wykwintnych budzi się istny szaleństwo emulacji, która z nich mniej ma na sobie ubrania.

Nie mówi się o „pięknie ubranej” damie, ale o „pięknie rozebranej”. Ulubioną grą towarzyską staje się zwyczaj ważenia damskich szatek.

W roku 1800 ubiór modnej pani z obuwiem i biżuterją nie powinien był przekraczać wagi 16 łutów czyli pół funta.

Rekord zdobyła pod tym względem piękna pani Hamelin, żona bogatego szwajcarskiego bankiera, która pewnego razu, okryta tylko szalem z gazy, przechadzała się po ogrodzie w Tuilerjach, dopóki natrętność publiczności nie zmusiła jej do powrotu do domu. Pobiła ją panna Saulnier, występując jako całkowicie obnażona Wenus, w balecie „Sąd Parysa”.

W Hannoverze w roku 1801 założyła się pewna pani, że przejedzie po ulicach tylko w koszuli i że nikt na to nie zwróci uwagi i — wygrała zakład.

Jak szybko moda nagości podbiła świat, świadczy fakt, że jesz-

cze w 1794 r. pewien berliński krytyk zarzucał artystce Baranius, że obraża przyzwoitość, przekracza granice dobrych obyczajów, nawet budzi obrzydzenie, a wszystko dlatego, że poważyla się ukazać na scenie z obnażonymi ramionami. Tymczasem już w r. 1799 na maskaradzie w Büchkeburgu wystąpiła para, przebrana za... Adama i Ewę.

Moda „obnażona” triumfuje wszędzie. W Rosji wprowadza ją malarzka Vigée Lebrun zarówno przez swe obrazy, jak wpływ osobisty. Tak na przykład w r. 1795 ubrała

po swojemu na dworski bal wielką księżnę Elżbietę, ale strój ten oburzył cesarżową.

Na niektórych zacyfowanych dworach utrzymywano bez zmiany dawny strój galowy, aż do rogówki wyłącznie. Do tego należały jeszcze dodać pęk strusich piór we włosach (siedem sztuk było ilością wystarczającą, ale mało kto się do niej ograniczał; zwykle noszono ich dwanaście do piętnastu, ale były głowy, upiękzone kolekcją 25 piór), a będziemy mieli sylwetkę wprost potworną, szczególnie w zestawieniu z prostotą niby antycznej nagości. Najdłużej trwał przy dawnych strojach dwór w Dreźnie. Przyjeżdżnym, którzy po dwudziestu latach nieobecności zobaczyli króla, książąt i księżniczki, wydawało się, że patrzą na pochód widm przeszłości. W Berlinie już w 1798 r. królowa i hrabina Voss ubierały się „à la romaine”. Królowa Luiza była młoda, ładna; lubiła się stroić, czego jej wielu współczesnych nie mogło darować. I ona i, cały jej fraucymier ubierał się po grecku. Lekka koszulka i przezroczysta szata stanowiły cały strój. „Nie mogę zrozumieć, dlaczego nasz kochany król pozwala swojej zalotnej małżonce ubierać się w ten sposób”, — pisał hrabina Tina Brühl w 1799 r. 10-go



Królowa Luiza

marca do swego męża. „To nie jest wykwintny strój wykwintnego dworu, ale ubranie marnej aktoreczki, dekoltowanej do nie możliwości”. Królowa Luiza owego dnia miała białą suknię, którą po godzinie zmieniła, aby przebrać się do obiadu.

Tak przetworzyła się moda antyczna, której kolebką bynajmniej nie

była Francja, ale Anglia, a źródłem — komiczny zbieg okoliczności. A mianowicie, kiedy ogólnie lubiana księżna Yorku po raz pierwszy zaszła w ciążę w 1793 r., powstał zwyczaj noszenia poduszek, wypychanych włosiem z przodu pod paskiem. Nazywano je w Anglii „pads”, w Niemczech „ventres postiches”. Tą drogą urodziła się moda krótkiego stanu, która rychło przewędrowała na kontynent, aby natychmiast po upadku terroru zawojować cały świat.

Niesłychanie znamiennym zjawiskiem był „powrót” „angielskiej” mody, przerozdzonej w „antyczną” z za Kanału i nie gościnne, a nawet wrogie przyjęcie, jakie jej zgotowano w ojczyźnie.

Kiedy Mrs. Jordans w teatrze Drury Lane po raz pierwszy chciała ją wprowadzić na scenę, zaczęto jej rzucać z widowni chustki do nosa, aby okryła swą nagość, a wreszcie zmuszono ją do przebrania się.

Angielki trzymały się wiernie dawnego stroju, co dało Gabrijeli von Büllow powód do uwagi, że robią one zawsze wrażenie maskarady retrospektywnej. To co w Londynie nazywało się brakiem stroju, w Berlinie lub Lipsku starczyłoby na odzianie trzech dam.

Spero.

REFORMA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Około południa dzielnica łacińska w Paryżu przedstawia szczególny widok. Co krok spotyka się studentów i studentek, obładowanych najrozmaitszymi paczkami i garnuszkami. Oto adwokat lub doktorka inspe z powagą w jednej ręce dźwiga olbrzymi melon, a w drugiej flaszki ze spirytusem do palenia i z nieodzownym winem. Nieco później na wszystkich piętach zacisznych „hotelu” młode stadła studenckie i samotni adept-

ci wiedzy krzątają się około „déjeuner”. Na gazowym piecyku, na malutkiej maszynce spirytusowej przyrządzają w ciągu kilkunastu minut smaczne potrawy, które pod względem urozmaicenia wytrzymać mogą porównanie z wykwintnym „menu” jadłodajni warszawskiej. Dużo zależy naturalnie od pomysowości i talentów kulinarnych danej jednostki, ale przyznać trzeba, że kupcy kolonialni, rzeźnicy, piekarze i t. p. czynią bardzo wiele,

by ułatwić i uprzyjemnić pracującej inteligencji oraz proletariatu spożywanie chleba codziennego. Przeciwny paryżanin je lepiej od przeciwnego warszawianina, natomiast mniej mówi i mniej myśli o jedzeniu.

Czytelnicy znanej powieści Zoli: „Le ventre de Paris” wiedzą, jakim sposobem słynne hale paryskie zaopatrują codziennie w wiktuały stolicę Francji. Znają z opisu sznury wozów i automobili ciężarowych,

ciągnących przez całą noc ulicami Paryża z okolic podmiejskich i z kolei do hal centralnych: stamtąd wędrują wiktuały po większej części do niezliczonych sklepów i sprzedawców ulicznych, by przejść następnie do rąk spożywców.

„Marchands de quatre saisons“* — sprzedawcy uliczni — rozwożą na małych wózkach produkty roślinne, jarzyny i owoce, spożywane przez Francuzów w daleko większej ilości, niż przez nas. „Marchands“ są nieodłączną częścią składową Paryża; wraz z nimi zaginęłyby bezpowrotnie jeden z pierwiastków niezrównanego czaru jego życia ulicznego i jeden z najcharakterystyczniejszych typów ludności stołecznej. Pocieszy widok przedstawiający okrągłe babulinki o zupełnie nieparyskich figurach i toaletach, ale obdarzone wzamian iście paryską pracowitością, werwą, dowcipem. Czy deszcz pada, czy słońce świeci, zalegają tłumnie swą główną kwaterę w „quartier latin“ — ulicę St. Jacques, życzliwie uśmiechnięte, odcinają się wesołej, a zaczepnej rzeszy studenckiej; chociaż nie wyjrzały zapewne w życiu poza swe rodzinne quartier, znają całą kulę ziemską, są za pan brat z Chińczykami i Murzynami, Rosjanami i Szwedami.

Obok, w gęsto rozsianych sklepach spożywczych nabyć można wszystko, czego podniebienie zapagnie, a na co zasoby studenckiej lub robotniczej kieszeni pozwolą. Więc świeżutkie jaja, masło, sery, twaróg i śmietankę, którą za drobną opłatą wlewa się do naczyń, wypożyczanych do domu. Najwyszukańsze przekąski np. łosia, smacznie przyrządzone majonezy, śledziki, korniszony. Oprawione i ugotowane ryby, kraby, krewety, raki. Przeprogramowane jarzyny, codziennie apetycznie przyrządzane: kartofle pieczone, przecierane i t. p., grochy, kalafjory, szparagi, wszystkie nowalje sezonu, coraz tańsze z biegiem czasu. Rzeźnicy sprzedają porcje mięsa na befsztyki, kotlety, pieczenie; przyrządzenie ich na maszynie trwa zaledwie parę minut, ale pracująca zawodowo gospodyni może też rano zwrócić się do piekarza, który za opłatą 15 — 20 centymów upiecze

jej w porze śniadaniowej kure, usmaży befsztyk. U tegoż piekarza nabyć można ciasteczka na deser, „bouchées“ czyli kęsy czekoladowe i inne smakołyki. Wreszcie należy wspomnieć, że wielu właścicieli sklepów spożywczych przyrządza porcje mięsa z jarzynami, smaczne, tanie i zdrowe, które zabiera się w garnuszku do domu i odświeża na maszynie.

Jak widać z powyższego opisu, jedną z charakterystycznych cech handlu spożywczego w Paryżu i w ogóle we Francji jest daleko posunięta decentralizacja, przejawiająca się w istnieniu licznych konkurencyjnych sklepików, obracających małym kapitałem — oraz mnóstwa sprzedawców ulicznych, żyjących z dnia na dzień. Pod niektórymi względami kupcy okazują dużo zapobiegliwości i inicjatywy, ale nie mile uderza lekceważenie elementarnych zasad higieny, niezrozumienie w ojczyźnie Pasteur'a. Piękne, soczyste owoce, świeżutkie jarzyny, apetyczne przekąski, porcje mięsa, wyłożone są nazewnątrż sklepów, na wzór południowych i wschodnich miast; w lecie obsiadają je roje much, kurz uliczny osadza się grubą powłoką, coż mówić dopiero o niewidzialnych bakcylach i mikrobach..

Inny pod każdym względem charakter posiadają sklepy kolonialne. Tutaj zwyciężyła na całej linii tendencja koncentracji kapitału; ich linia rozwojowa przypomina wielkie magazyny: nowoczesna organizacja, skupienie różnorodnych produktów na jednym miejscu i wynikająca stąd ogromna oszczędność czasu. Trzy wielkie firmy: Conté, Julien Damoy i Felix Potin królują niepodzielnie na rynku. Zwłaszcza firma tego ostatniego jest bardzo popularna; w najmniejszym miasteczku, od kanału La Manche aż po Pireneje widnieją w złotych literach te harmonijnie skojarzone zgłoski: Felix Potin... Te zakłady posiadają własne fabryki konserw z jarzyn i konfitur, najrozmaitszych gotowych przekąsek i produktów morskich; wytwarzają proszki do legumin, ekstrakty

*) Uwiecznił ich Anatol France w swoim pięknym „Crainquebill'u“.

i t. d. Rozreklamowaniem tych wytworów trudni się wydział „publicité“, jedna z komórek olbrzymiego aparatu administracyjnego, którym każda z firm rozporządza. Łącząc korzyści koncentracji i decentralizacji, posiadają te domy handlowe, obok głównego składu, zajmującego parę budynków, po kilka filij w Paryżu i w każdym większym prowincjonalnym mieście. Sklepy kolonialne odbijają korzystnie pod względem czystości i urządzenia od ubogich sklepików spożywczych; niestety, zachowały niewybaczalny zwyczaj wystawiania nieprzykrytych produktów wewnątrz sklepu i na ulicy.

Dzięki wyszczególnionym udogodnieniom, zarówno uboga urzędniczka, krawcowa lub studentka, żona proletariusza, jak i zamożna pani domu może z minimalnym nakładem czasu i energii prowadzić gospodarstwo. Ma do swej dyspozycji liczne puszkowe produkty doskonałej jakości, wielki wybór owoców i jarzyn, nawpół i zupełnie gotowe potrawy. W razie niespodziewanej wizyty wystarczy zbiec do pobliskich sklepików i w przeciągu paru minut zestawić smaczne „menu“, można też, w oczekiwanu gości, zamówić potrzebne wiktuały w jednej z firm kolonialnych: punktualnie o wyznaczonej godzinie zajeżdża samochód ciężarowy i przywozi poćwiartowaną kure na posrebrzanej tacy, ślicznie przybraną pieczeń, desery, owoce...

U nas należałoby nadewszystko dążyć do tego, by kupcy spożywczy zaczęli zwracać bacniejszą uwagę na potrzeby pracowników umysłowych i fizycznych i zaprowadzili zwyczaj częściowego przyrządzania potraw. Gospodynie ze swej strony dobrzeby uczyniły, usuwając na wzór Francuzek zawiesziste zupy i mięsiwa i zastępując je lekkostrawnym, łatwym do wykonania i bardziej urozmaiconym „menu“ francuskim. Ale przepisy higieniczne lepiej czerpać (o ile wogóle zachodzi potrzeba czerpania ich z obcych źródeł, co wydaje mi się wątpliwem) z dzieł uczonych francuskich, niż z praktyki życiowej tego najkulturalniejszego na świecie, a jednak niekiedy tak dziwnie prymitywnego narodu...

F. S



„ZIOŁA POLSKIE”

Producentkom roślin lekarskich zakomunikować możemy dobrą nowinę.

Oto powstała w Warszawie Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, pod firmą wskazaną w tytule, która postawiła sobie za cel zajęcie się produkcją, zbiorą, przeróbką i sprzedażą naszych roślin leczniczych. Spółkę zawiązało grono nauczycieli szkół powszechnych i, wydzierzawiwszy od władz wojskowych tereny po dawnych fortyfikacjach Warszawy, urządziło, na razie niewielką rozmiarami, plantację ziół leczniczych. Na wiosnę do piero uprawione pólka wonieją już miętą najrozmaitszych odmian, szałwią, lubczykiem, ostrym piołunem, walerjaną i t. d. i t. d.

Spółka zamierza jednak nie tylko produkować, lecz i nabywać mniejsze i większe partje ziół. i w tem tkwi duże znaczenie jej dla osób, które na wielką skalę produkcji podjąć nie mogą, a pragnęłyby wyprodukowane przez siebie rośliny spieniężyć. Dotychczas producentki, hodujące zioła lekarskie w małych ilościach, nie mogły ich sprzedać. Hurtownicy bowiem, aptekarze, drogiści nie reflektowali na małe partje towaru. „Gdyby pani miała do sprzedania choćby wagon” — słyszała zawsze oferująca kilkadziesiąt funtów mięty n. p. właścicielka małego ogródka, „to” i t. d. Hurtownicy woleli sprowadzać zioła z zagranicy całymi wagonami, niż skupować je małymi partjami od producentów krajowych.

„Zioła Polskie” będą taką hurtownią, która skupi u siebie krajową produkcję ziół.

Nie tylko producentów jednak rzecz ta zainteresować może i powinna.

Chodzi także o zbieranie dziko rosnących roślin lekarskich.

I tu by można n. p. rozpocząć propagandę tej myśli wśród dzieci szkolnych. Po lasach i łąkach, ugorach, wygonach, przydrożkach i nieużytkach pełno jest pożytecznych roślinek: dziewanny i ślasy, bratki i macierzanka, kwiat lipowy, kwiat bzu, liście poziomki, czarnej jagody, same czarne jagody i t. d., wszystko to można zbierać suszyć i nie tylko mieć w tem źród-

ło zarobku, ale i przyczynić się do poprawienia naszego bilansu handlowego. Na rzeczy te bowiem kolosalne sumy wychodzą corocznie za granicę, gdy właściwie produkcją naszą my moglibyśmy zalewać kraje sąsiednie.

Pogadanka w szkole, objaśniająca rzecz całą, a potem wycieczka w pola i lasy po rośliny lecznicze, mogłaby stać się zarazem pogłówną lekcją obowiązków obywatela.

Możnaby zainicjować w szkole zbiorową akcję zbierania i suszenia ziół, celem zakupu za uzyskane pieniądze przyborów do teatru amatorskiego, książek do biblioteki, zaprenumerowania pisemek dla dzieci i t. p. Należy jednak przedtem wejść w porozumienie ze spółką „Nasze Zioła”, celem uzyskania informacji, jaki towar jest najbardziej pożądanym, oraz wskazówek, w jaki sposób daną roślinę zrywać, suszyć i przechowywać należy. To samo, oczywiście, stosuje się do producentów.

Spółka jest towarzystwem udziałowym. Udziały niewielkie, po kilkadziesiąt złotych, dostępne są dla wszystkich, którzy sprawą się interesują.

Adres Spółki „Zioła Polskie”. Warszawa — Chłodna 5.

SYMPATYCZNA UROCZYSTOŚĆ

W końcu czerwca r. b. byliśmy świadkami miłej uroczystości: rozdawnictwa roślin dzieciom, urządzanej przez Koło Miłośników Ogrodnictwa.

Koło powyższe powołało przed trzema laty do życia Sekcję zdobienia szkół powszechnych roślinami, która ma za zadanie zachęcanie szkół i okazywanie im pomocy czynnej przy ożywianiu sal roślinami żywymi, przystrojaniu balkonów i okien skrzynkami, obsadzanymi roślinami kwitnącymi, przy urządzaniu szkolnych ogródków, gdzie na to miejsce pozwala. Przewodnicząca Sekcji, p. Stefanowa Zielińska, gorąco sprawę wzięła do serca i dzięki temu akcja pięknie się rozwija. Już w roku zeszłym zgłosiły się 44 szkoły, z czego 36 ozdabiano, w roku bieżącym przyjęła Sekcja około 50 szkół pod

swoją opiekę, odwiedziła je w asystencji ogrodnika, który wygłosił odpowiednią pogadankę, rozdała nasiona kwiatów letnich lub rozsady i udzieliła wskazówek, jak z nimi postępować należy. Pielęgnowanie roślin spełniają dzieci szkolne.

Oprócz roślin jednorocznych, szkoły otrzymują od Koła M. O. także rośliny doniczkowe trwałe. Takie właśnie rozdawnictwo odbyło się niedawno.

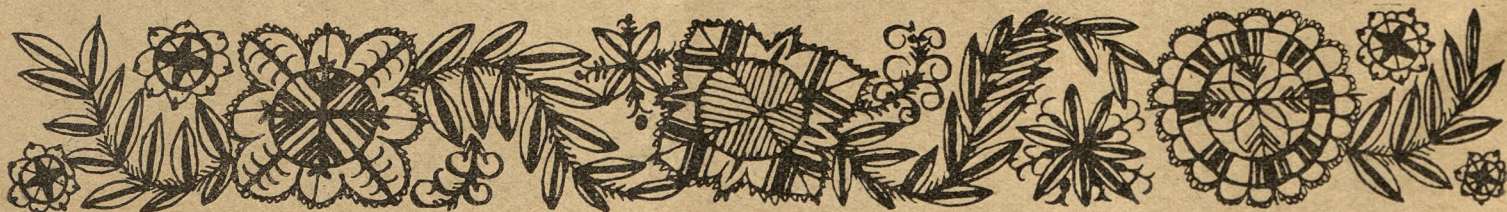
Z upoważnienia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, zgromadziły się w wielkiej szklarni Łazienek delegacje szkół, w liczbie ogólnej około 300 dzieci, pod wodzą kierowniczek lub kierowników i nauczycieli. Do zebranych przemówił serdecznie ksiądz kanonik St. Kuczyński, potem prezes K. M. O., p. St. Schönfeld, a następnie podchodziły kolejno wywoływane z listy delegacje szkół i otrzymywały po kilkanaście doniczek pięknie wyhodowanych roślin, zakupionych na ten cel przez Koło w ogólnej liczbie 800 sztuk. Uroczystość zakończyła zbiorowa fotografia.

Zdobienie szkół powszechnych roślinami zyskało sobie już zasłużone uznanie u sfer kierowniczych. Niezależnie od udzielenia pozwolenia na urządzenie uroczystości w Łazienkach, Pan Prezydent ofiarował na ten cel 200 doniczek roślin ze szklarni łazienkowskich, a Wydział Szkolny Magistratu przyznał Kołu subwencję w go-tówce.

Sekcja uskarża się tylko na brak współdziałania ze strony członków Koła. Szkoły ozdobione pozostają pod stałym dozorem Sekcji, więc muszą mieć swe opiekunki lub opiekunów, odwiedzających je parę razy na miesiąc. Pobudza to zainteresowanie działwy i stanowi pożądaną łącznik pomiędzy Kołem a szkołą. Lista opiekunek w stosunku do liczby zgłaszających się szkół jest znikoma.

Sekcja zwraca się za naszym pośrednictwem do Czytelniczek Bluszczy z zapytaniem, czy która z nich nie zechciałaby przyjść z pomocą dobrej pracy i podjąć się opieki nad jedną lub paru szkołami? Łaskawe zgłoszenia prosimy kierować, względnie zasięgać informacji telefonicznie: 32-35 albo 136-66, gdzie będą one z wdzięcznością przyjęte.

Estes



Jakie zapasy śpizarniane można suszyć w lecie

(dokończenie)

Na wiosnę, w najlepiej prowadzonych gospodarstwach na wsi zdarza się, że jedne gatunki włośzczyzny lub jarzyn zbyt prędko się zużytkowały, inne wygnily lub też tak się przejęły wilgotnym zapachem piwnicy, że już zapom i rosołom nadają smak pleśni. W takich razach zapach suszonych jarzyn przychodzi ze skuteczną pomocą. W miastach znów wiosną ceny włośzczyzny i jarzyn są tak wygórowane, a jakość ich po przemowaniu w stęchłych piwnicach tak wiele pozostawia do życzenia, że od marca już najlepiej jest używać suszonych jarzyn.

A więc marchew, pietruszkę, pory, selery, groszek zielony w płaskich jeszcze strączkach, drobnuchne strączki fasoli, małe główki kalafiorów, podzielone na drobne gałązki, główki brukselki, listki kapusty włoskiej — każde oddzielnie; w miarę, jak te jarzyny dorastają, należy suszyć w cieniu, postępując z nimi, jak z groszkiem zielonym i przechowywać do jesieni, poczem się je mięsza dokładnie i dalej już trzyma razem, pilnie strzegąc od wilgoci, mogącej spowodować pleśń i utratę koloru i aromatu.

Robiąc taką mieszaninę, należy uważać, aby skład jej odpowiadał jakościowo składowi jarzyn, zwykle do zup używanych, t. j. aby marchewki było najwięcej, pietruszki i porów nieco mniej, a selerów najmniej; innych jarzyn, o bardziej neutralnym smaku i zapachu można dołożyć stosownie do indywidualnego gustu każdej osoby. W żadnym razie nie suszy się brukwi, ani żadnej z odmian rzepy, gdyż jarzyny te po ususzeniu są brzydkie, niesmaczne i dają niemiły odór zapom, z nimi przyrządzonym.

Po jarzynach najpożyteczniejsze w kuchni są wszelkiego rodzaju grzyby suszone. Grzyby po ususzeniu tak tracą na objętości i na wadze, że należy tylko wtedy suszyć, gdy możemy je sami zebrać lub bardzo tanio w dużych ilościach nabyć, w przeciwnym razie zawsze lepiej jest kupić je gotowe, ususzone. Grzyby prawdziwe suszy się najlepiej, wtykając je pojedynczo na sękatę gałązkę i ustawiając takie gałązki w piecu jeszcze dobrze ciepłym, po chlebie, lub też nanizując po kilkanaście sztuk na cienkie patyczki, które się potem opiera o brzegi brytfanny i wraz z tą brytfanną stawia

do pieca lub pod blachę po wygaszeniu ognia. Powtórzyć tę operację należy kilka razy, a gdy grzyby zupełnie uschną, zdejmujemy się je z patyków, naciąga na grubą nitkę, licząc zwykle po kopie, półtorej lub dwie na taki wianek w zależności od rozmiaru grzybów. Takie wianki, powieszone w śpizarni, żadnej dalszej opieki nie potrzebują, o ile na wiosnę nie zostaną nawiedzone przez zwykłe móle. Gdyby takie móle je opadły, co poznać można po pajęczynach i drobnych okruchach, sypiących się z grzybów, należy natychmiast zapas cały ułożyć na brytfannę i wsunąć w dosyć gorący jeszcze piec na godzin parę. Po wyjęciu z pieca grzyby należy przetrząść starannie na rzadkim przetaku, a znowu staną się zdatne do użytku. Należy je tylko w ciągu paru miesięcy myć, gdyż móle grzybowe znowu wracają i mogą cały zapas zniszczyć.

Poza grzybami zwykłymi, suszonymi w całości i nanizanymi na wianki, które tylko w takim razie robić się opłaca, o ile się je nawpół darmo kupi lub samej w lasach zebrać można, — wyborne są grzybki młode, krajane w płatki i suszone na płótnach w cieniu. Te ostatnie, wymoczone przez dwanaście godzin w mleku lub nawet w wodzie, uduzione potem, jak świeże, z masłem, cebulką i śmietaną, zupełnie się od tych ostatnich nie różnią. Starsze, zdrowe grzyby, pokrajane na płatki i tak ususzone, należy potem utłuc w moździerzu i proszek zsytać do butelki. Łyzeczka takiego proszku, dodana do mięsnego lub rybnego sosu, dodaje smaku jak przechwalony ekstrakt „Maggi.“ Oprócz grzybów prawdziwych można suszyć podosiniaki, babki, kozłaki itp. są one w gotowaniu czarne, jednak tam, gdzie rodzina liczna, lub na wsi, gdzie służby i czeladzi dużo, w poście doskonałe znajdują zastosowanie. Młode pieczarki, obrane ze skórki, kraje się też w cieniu, wymo-

zione przez godzin kilka w mleku, służą również dobrze, jak świeże do sosów i potrawek. Skórki wewnętrzne, nóżki pieczarek, jako też starsze pieczarki całe należy ususzyć tak mocno, aby się dały utłuc na proszek, którego używać można do sosów i zup. W smaku przewyższa on proszek z grzybów prawdziwych.

Większość owoców daje się doskonale suszyć. Zaczniemy od poziomek, które, ususzone w cieniu, dają w zimie wyborną, aromatyczną herbatę, nie tylko jako lekarstwo na przeziębienie znajdując zastosowanie. Taka herbata poziomkowa gorąca i mocno osłodzona, wyborne smakuje i zdrowym i w mroźne dni jest wybornym środkiem rozgrzewającym. Przed laty kilkunastu, w Petersburgu, herbata poziomkowa była tak modna, że ją na wszystkich żurkach do wyboru z herbatą chińską podawano. O malinach suszonych mówić nie potrzebuję, są one w każdym domu niezbędne. Należy jednak pamiętać, aby suszyć tylko maliny leśne, gdyż tylko one mają aromat i własności lecznicze. Poziomki do suszenia należy brać też tylko leśne, miesięczne, ogrodowe są dobre do jedzenia na świeżo i na konfitury. Z drobnych owoców, jagody czarne (czernice) suszone, używane w medycynie, jako środek zatrzymujący, w gospodarstwie znajdują zastosowanie w zupach i kisielach postnych. Dojrzały agrest suszony może być użyty do soków mięsnych, tak samo głóg dojrzały, starannie wydrelowany, a nawet wytarty wewnątrz szmatą lub kawałkiem waty, owiniętej na patyku. Taki głóg suszony, dobrze wymoczony i rozgotowany daje wyborny smak różnym, mięsnym sosom — sos taki szczególnie do schabu jest odpowiedni. Wiśnie suszone, a należy na nie używać tylko najbujniejszych, najśłodszych gatunków: hiszpanek, łutówek itp. ugotowane w kompcie mało się różnią od świeżych; zupy z nich w poście są też bardzo smaczne. Kto lubi zupełną wiśniową przecieraną, powinien na nią suszyć wiśnie wprawdzie wydrelowane. Pozostają jeszcze inne z dużych owoców, jabłka, gruszki, śliwki i morele. Niestety, susze nasze najstaranniej przyrządzone, nie mogą rywalizować z wybornymi owocami suszonymi kalifornijskimi. Nie wiem, czy to gatunek owoców, czy sposoby ich przyrządzenia, lecz rezultatem jest ten, że owoce te po ugotowaniu mają smak i wygląd świeżych, gdy



nasze są zawsze ciemne i pomarszczone. Jabłka na suszenie należy wybierać kwaskowe i bardzo dojrzałe — najodpowiedniej zużytkować na to dojrzałe opadki, nie znajdujące zwykłe zbytu, gdyż są potłuczone. Jabłka się obiera, rurką niklowaną wybija środek z ziarnkami, kraje w grube na palec plastry, nawiązuje na grube nitki i suszy na razie w cieniu, a gdy zupełnie zawiedną, dosusza się w letnim piecu po chlebie. Najlepiej się konserwują w wiankach, wisząc na jakim haku w spiżarni, byle nie około ściany, która nieraz bywa wilgotna. Gruszki do suszenia powinny być soczystego, słodkiego gatunku, bardzo dojrzałe, a nawet ułgłe; suszy się je w piecu, narazie nawet dosyć ciepłym, aby się upiekły. Dosusza się je w lasach, na wietrze. Suche zupełnie pakuje w worki. Ze śliwek do suszenia używają się tylko duże gatunki węgierok, tak dojrzałe, aby się skórka już na nich zlekka marszczyła. Suszy się je w cieniu, a gdy już dobrze przewiedną, dosusza w lekkim piecu. Doskonałe są, wydrelowane i nadziane masą migdałową, kminkiem lub anyżkiem, nanizane rzędami na rożenki z drzewa, i tak ususzone. Ktoby miał tyle moreli, żeby je mógł suszyć, postępuje z niemi, jak ze śliwkami, — suszyć je warto jednak tylko wtedy, jeśli są bardzo słodkie, duże i soczyste.

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



SOKI OWOCOWE, (syropy).

Sok malinowy oszczędny
Ten sposób smażenia polecam paniom, nie mającym własnego ogrodu i zmuszonym kupować tak drogie obecnie owoce. Na każdy funt starannie przebranych malin leśnych funt cukru.

Cukier zalać wodą, (pół szklanki na funt) ugotować ulep, wrzucić nań maliny i smażyć aż maliny się staną przezroczyste. Zszumować i wylać na gęste sito, postawione nad fajansową wazą. Gdy zupełnie ostygnie syrop się zlewa do butelek i zakorkowuje. Pozostały gąszcz malinowy składa się w słoik lub garnek kamienny i używa do prze-

kładania kruchych ciastek, naleśników, itp. Chcąc dodać obu konserwom trwałości, należy przed scedzeniem dodać na każde kilo konserwy pastylkę bezoesu, rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody.

Można cukru brać więcej: półtora i nawet dwa funty na funt owocu, a i syrop i marmelada pozostała będą lepsze i trwalsze, kolor syropu jednak będzie nieco bledszy.

Syrop malinowy sposobem paryskim: Wybrać leśne maliny dojrzałe, lecz nie pogniecione, a szczególnie nie sfermentowane i spleśniałe, ułożyć w porcelanową lub fajansową wazę. Na każdy funt malin wziąć półtora funta cukru, zagotować bardzo gęsty syrop tak gęsty, że zdmuchnięty z łyżki, zaczyna się ciągnąć w nitki, wrzącym nalać maliny, wymieszać łyżką, nie gniotąc owocu i wynieść na 24 godziny do piwnicy lub lodowni.

Nie zakrywać pokrywą, aby para napowrót do naczynia nie opadła. Jeżeli jest konieczność przykrycia dla ochrony od much lub myszy, złożyć w kilkoro miękkie płótno i przykryć niem, para cała w nie wsiąknie i nie opadnie. Nazajutrz czystą, suchą serwetę rozpiąć i przywiązać do nóżek przewróconego stołka kuchennego, podstawić pod to miskę lub wazę, maliny wylać na serwetę i dać tak ściec, nie mieszając i nie gniotąc jagódek. Mieć przygotowane, wymyte i doskonale osuszone, nieduże butelki. Wprost z misy zlewać do nich sok, natychmiast korkować, dobrze osmolić korki aż do pół szyjki i trzymać sok ten szyjkami do dołu. Nie jest tak trwały jak smażony, trwa jednak dobrze do następnej wiosny, a jest tak smaczny i aromatyczny jak żaden inny, po odkorkowaniu butelki należy ją prędko zużyć, gdyż stojąc czas dłuższy sfermentował by. Pozostałe na serwecie maliny, w których pozostało dużo jeszcze cukru wysmażyć na gęstą marmeladę, której można użyć do tortów i potraw jak zwykłej marmelady malinowej.

Sok wiśniowy robiony wraz z konfiturami. Sok ten polecam paniom mieszkającym w mieście, kupującym drogo owoce. Wydrelować wiśnie, jak na zwykłe konfitury. Na kilo wydrelowanych wisien wziąć trzy kilo cukru. Na kilo cukru wziąć dwie i pół szklanki wody, zagotować syrop, wrzucić na to wiśnie, zagotować na dużym ogniu, zszumować, włożyć kilkanaście pestek oczyszczonych,

dla nadania zapachu. Smażyć na bardzo wolnym ogniu, aż się wiśnie wypełnią i staną przezroczyste, wtedy konfitury odstawić, dodać na każde kilo jedną pastylkę bezoesu, rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody. Wziąć czyste, suche sitko metalowe, i przez nie odlać wazową łyżką dwie trzecie syropu do jakiego garnka lub wazy. Konfitury i syrop ostudzić, poczem włożyć pierwsze do słoików, drugi zlać do suchych, czystych butelek, zakorkować, osmolić lub zalakować i przechować w suchym miejscu. Syrop jest mniej esencjonalny, lecz bardzo smaczny.

KURCZĘTA PO FRANCUSKU „A LA BONNE FEMME“.

Jedno bardzo duże lub dwoje mniejszych kurcząt oczyścić, rozkrawać surowe na pięć części każdej. Mianowicie, skrzydła i uda oddzielić od piersi i rozkrawać, pozostawiając przy każdym odpowiednią część grzbietu; mamy w taki sposób cztery kawałki, piersi stanowią piątą, oprócz tego do tej potrawy używa się szyjkę z główką, łapki i pepek. Wątróbkę należy oddzielnie ugotować w kilku łyżkach osolonej wody; gotowana razem, mogłaby potrawce dodać goryczy. Do sporego rondla, (naprzykład trzy litrowego) włożyć 10 deka marchwi, pokrajanej w talarki, 10 deka cebuli, pokrajanej drobno i 15 deka masła. Zasmażyć zlekka przez minut pięć, mieszając drewnianą łyżką. Kawałki kurczęcia osolone i nieco opieprzone położyć na masło, zrumienić z obu stron, co potrwa około dziesięciu minut, osypać mąką, (6 deka) dusić starannie, mieszając jeszcze pięć minut, (na bardzo wolnym ogniu, aby się nie przypalili). Zalać trzema szklankami, (jeżeli kurczęta spore, to można do litra) lekkiego rosółu lub w braku rosółu wody, dodać 10 deka pomidorów, pokrajanych w kostkę. Wciąż mieszając drewnianą łyżką zagotować, poczem dusić na wolnym ogniu minut dwadzieścia. Na koniec dodać 30 deka pieczarek pokrajanych w paski, — w braku pieczarek można użyć młodych, białych grzybów prawdziwych, pokrajanych w takie paski, pogotować jeszcze minut dziesięć, wsypać łyżkę pietruszki zielonej, siekanej i tyleż koperku, wymieszać tylko i nie gotować więcej. Tą potrawkę wyborną można podawać w rancie z francuskiego ciasta, w rancie z ryżu, ugotowanego na sypko, lub też obłożyć na półmisku grzankami z bułki przysmażonymi na masle.

KURCZĘTA NADZIEWANE DUSZONE.

Na sześć osób troje niedużych, lecz mięsistych kurcząt oczyścić wymoczyć przez dobrą godzinę, osuszyć miękką ściereczką, osolić wewnątrz i zewnątrz. Utrzeć dobrą łyżkę masła na śmietaną, dodać dużą garść koperku, tyleż pietruszeczki, jedno duże lub dwa małe jaja, wymieszać doskonale, wsypać półtorej szklanki tartej, suchej bułeczki, osolić, wyrobić razem aż się zrobi sucha kaszka, wtedy wlać półtorej szklanki tłustego rosółu lub tyleż wody gotowanej z rozpuszczoną kostką „Maggi.“ Wyrobić dobrze nadzienie, wypełnić niem kurczaki, włożyć do środka całe wątróbki, otwory zaszyć. Skrzydełka i nóżki podwiązać, pod jedno skrzydełko założyć łebek z szyjką, pod drugie oczyszczony żołądek.

W rondlu, używanym do duszenia pieczeni, rozgrzać dwie łyżki smalcu lub tłustego masła, ułożyć na to kurczęta, zrumienić na dalszym ogniu ze wszystkich stron, wsypać dwie szklanki pokrojonych w paski: marchwi, pietruszki, cebuli i rzepki lub brukiewki, podlać paru szklankami wody i dusić na wolnym ogniu pół godziny, często potrząsając rondlem, aby się nie przypaliło.

Pół kilo dużych kartofli obrać i pokroić w paski, jak gruby makaron, dwadzieścia deka wędzonego boczką pokrojać w cieńsze jeszcze paski. Włożyć jedno i drugie do kurcząt, podlać ponownie wodą, aby objęło, pokrywę zdjąć i gotować tak minut dziesięć odkryte. Kartofle przez ten czas zmięknąć powinny, a sos wydusić się do połowy. Kurczęta wyjąć, podzielić na ćwiartki, ułożyć na środku półmiska, naokoło ułożyć sos z jarzynami i słoniną, który jest wyborny.

Do tego można podać każdą zieloną sałatę, przyprawioną bądź śmietaną, bądź oliwą z octem lub też mizerję z ogórków. Kurczęta tak przyrządzone przewyższają w smaku kurczęta pieczone, a mają tę zaletę, iż mogą być przyrządzone na gazie, a nawet na maszynie naftowej z dającym się regulować płomieniem (więc nie na primusie.)

PASZTET Z KURCZĄT NA ZIMNO.

Dwoje dużych kurcząt ugotować jak zwykle na rosół z marchwią, pietruszką i koperkiem, kurczęta rozkroić na cztery części i wybrać z nich wszystkie większe kości, starając się jednak zachować te ćwiartki w całości. Kilo cielęciny wraz z łojem nerkowym przepuścić przez maszynkę wraz z pół kilo bułki, wymoczonej w mleku, wsypać garść koperku i pietruszki zielonej, rozbić 3 jaja, dodać szklankę rosółu z kurcząt, osolić do smaku, dodać trochę tartej gałki muszkatołowej. Z pół kilo maki, ćwierć kilo tłustego masła lub szmalcu i paru łyżek wody zagnieść ciasto, lekko osolić, cienko rozwałkować i wyłożyć tem długą formę, do placków lub keksów używaną. Ułożyć warstwami farsz i kurczęta, żołądki ich, wątróbki, szyjki; jeśli są można połączyć też kilka osmażonych pieczarek. Przykryć ciastem, posmarować żółtkiem, wsadzić do pieca na półtorej godziny.

Pozostały rosół (nie powinno go być więcej, niż dwie szklanki) zmieszać z czterema listkami wymoczonej w zimnej wodzie białej żelatyny, zagrzzać, aby się żelatyna rozpuściła, zrobić ostrym nożem mały otwór w pasztecie, wlać doń tą galaretę. Pasztet zastudzić, wyrzucić z formy, trzymać na chłodzie 24 godziny, poczem krajać z ciastem w plastry i podawać z sosem provençal lub z kwaśną, gęstą śmietaną. Wyborne danie do zabierania na wycieczki. Pani Elżbieta.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

DOBRE RADY

Kwiaty, wstawione w zwyczajną wodę, trzymają się bardzo krótko. Dodawszy do 1 litra wody pół łyta soli amoniackiej lub trochę słabego roztworu kamfory, kwiaty można utrzymać w świeżości do 2 tygodni.

* * *

Przesoliwszy jakąś potrawę w następujący sposób można jej odebrać smak zbyt słony: zmaczać czystą serwetę w zimnej wodzie, a wycisnąwszy ją, nakryć naczynie z przesoloną potrawą na chwilę — powtarzać tę czynność dopóty, dopóki nie przywróci się właściwego smaku.

Korespondencje działu praktycznego

„Gordonowo“.

Pelargonie w zimie należy trzymać w pokoju na oknie słonecznym — podlewać regularnie lecz skąpo. W ostateczności w piwnicy suchej można je przetrzymać, ale już w początkach marca trzeba przenieść na światło.

Pani Z. S.

Chcąc przez dłuższy czas przechować jaja, trzeba zabezpieczyć je od działania powietrza — a na to jest szereg sposobów: macza się każde w parafinie za pomocą delikatnej drucianej rączki. Parafinę należy umieścić w blaszanym naczyniu i wstawić to naczynie w gorącą wodę, aby się rozpuściła. Jajka pokryją się powłóczką i, ułożone w pudełkach, w chłodnym i suchym miejscu, zabezpieczonym od mrozu przechowają się długo, o ile były świeże. Można też każde jajko posmarować starannie wazeliną bezwoną i zawinąć w papier, a również dobrym jest sposób przechowywania jajek w szkłe płynnem. Najtrwalsze do przechowania są jajka, niesione w marcu lub we wrześniu.



Pani J. z Łaszczowa.

Biały crêpe de chine trzeba prać w rozgotowanym barskiem mydle i prasować wilgotny.

Rady, o które pani chodzi, podaliśmy niedawno w *Bluszczu* w artykułach p. r. Higiena dziecka. Radzę przeczytać książkę: „o żywieniu niemowląt” dr. Mogilnickiego i „Higiena Kobiety” dr. Śmiarowskiej.

Pani Stefanji B. z Korszowa.

Plamę z masła będzie bardzo trudno wywabić ze skóry — niech pani spróbuje wyczyścić benzyną, a potem pomadką brązową do czyszczenia bucików.

* * *

Redakcja „*Bluszcza*” odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno a wobec wielkiego napływu listów nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „*Bluszcza*”.

Opis sukien i robót do Nr. 28.

479. Suknia z surowego jedwabiu — Spódniczka plisowana, casaque objęty aksamitką i zakończony żabotem z georgette'y.

480. Suknia z różowego crêpe de chine'u, przybrana haftem srebrnym.

481. Suknia z crêpe de chine'u deseniowego, przybrana pasem z organdyny w odpowiednim kolorze, ułożonej w drobne paseczki.

482. Suknia z jedwabnego płótna, przybrana lekkim ręcznym haftem.

483. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z bawełny merseryzowanej w dwóch kolorach.

484. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 12 z woalu ponsowego — przybrana ciemnymi guziczkami i krawatem z aksamitki.

485. Casaque z crêpe marocain koloru cyclamen, objęty białą jedwabną plisą i przybrany guziczkami.

486. Casaque z crêpe de chine'u blade różowego — haftowany ręcznie.

487. Casaque z surowego jedwabiu w pasy, wykończony ciemną aksamitką.

488. Casaque z kreponu, wykończony białą plisą z żabotem.

489—490. Modne fasony spódnic.

491. Czepeczek z plisowanej georgette'y koloru cyclamen, na czubku ujęty w motyw gipiurowy i wykończony ciemniejszą aksamitką.

492. Czepeczek z organdyny różowej rozszyty motywami filet i wykończony koroneczką.

493. Kombinacja z opalu, przybrana walansjeną i przewleczone wstążką.

494—495. Koszule dzienne z mereżką i haftem.

496. Kombinacja z soile de toile, przybrana szeroką wstawką filet.

497. Kombinacja z crêpe de chine'u, rozszyta wąziutką walansjenką.

498. Koszula dzienna z mereżką — rozszyta szerokim galonem filet.

499. Kombinacja z crêpe de chine'u różowego — przód, boki i tył plisowane.

500. Koszula dzienna z ręczną mereżką.

501. Majtki, bogato przybrane koronką filet.

502. Motyw do wyhaftowania na kopercie do serwet.

503. Trzy motywy — do bielizny lub serwetek — haft richelieu.

504. Wzór na kopertę do serwety — haft richelieu.

505. Wzór na szal haftowany na crêpe de chine — szerokość wzoru 50 cm.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „*Bluszcza*” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

Nadesłane do Redakcji (Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

PORADY KOSMETYCZNE.

KALISZANCE. Jeżeli piegi już zniknęły to więcej stosować „Petunii” nie trzeba. Gdyby jeszcze się gdzie pojawiły, to resztą tego płynu Pani je wygubi.

B-SKIEJ. Węgry i gęsią skórę usunie Pani myjąc proszkiem alkalicznym „Sveno” jednego dnia, a na drugi dzień posmarować twarz kremem „Ixora” specjalny od wągrów.

PANI M. K. Najlepsza ze wszystkich metamorfoz od piegów — to angielska „Metamorfosa Jersey”, dostanie Pani w firmie Perfection, ul. Szpitalna 10.

Listy proszę adresować: Dział Kosmetyczny, Warszawa, Skrzyn. poczt. 594. Na odpow. markami 30 gr. oraz adres należy załączyć

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100